Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego o naszem szkolnictwie średniem.

Wojna postawiła wiele spraw na porządku dziennym w oświetleniu odmiennem, niż je widziały czasy pokojowe. Mówi się dużo o szkole przyszłości. Wojna jednak nie może być wskaźnikiem jedynym, jak ma wyglądać przyszła szkoła. Trzeba oglądnąć się wstecz, jaką zastała szkołę naszą wojna. Wypowiedział to jasno przed wybuchem wojny Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego. Niepowszedni był to fakt, który winniśmy sobie uprzytomnić: prastara, czcigodna nasza Wszechnica w obszernej odezwie do społeczeństwa zwierzyła się z niepokojem, który budzi obniżający się w latach ostatnich poziom umysłowy młodzieży, wstępującej w progi Uniwersytetu. W tym poważnym głosie przebija i ból serdeczny i troska o przyszłość i wiara w możliwość nawrotu na drogę lepszą. Te nuty szczere wyróżniają ów memoryał po nad codzienne sprawy a tem więcej po nad małostkowe cele, jakie próbowano wystąpieniu Senatu uniwersyteckiego nadać. Gdy tak poważne ciało przemawia a przemawia do narodu, gdy wydanie odezwy poprzedziły gruntowne debaty na wszystkich Wydziałach, lekkomyślnością byłoby taki głos stawiać na równi z tymi przeróżnymi głosikami, które nastraja chwila lub jakaś podraźniona a częściej jeszcze niezaspokojona ambicyjka i osobista zawiść. Taki sąd potwierdza treść odezwy w pierwszej części, która zawiera poczynione spostrzeżenia.

Streszczają się one w następujących punktach: Młodzież, przychodząca ze szkół średnich, nie umie myśleć, nie umie swych myśli wyrażać zarówno w mowie jak w piśmie, nie umie się uczyć, przy braku rozwiniętej pamięci i zmysłu obserwacyjnego nie zdolna obejmować większych całości, — brak w niej zapału do nauki, poczucia obowiązków, brak ładu i porządku, — wiadomości podstawowe, jakie przynosi, są tak małe, że wykład uniwersytecki niemal od elementów musi się zaczynać, by mógł liczyć na zrozumienie. W przekonaniu Senatu rdzeń zła tkwi w obcem lub obojętnem dla kultury umysłowej środowisku, z którego dzisiejsza młodzież szkolna się rekrutuje, może także w niedostatecznem wszczepieniu przez uniwersytet poczucia kultury w kandydatów nauczycielskich, którym przypaść ma w przyszłości zadanie wyrabiana jej u swych wychowanków. Ale równocześnie Senat wierzy. że w mocy szkoły jest zapobiedz tym wadom, które dziś rażąco wystąpiły. Memoryał ogólnie nadmienia, że poprawa winna iść w kierunku pogłębienia wiedzy, którą szkoła średnia daje, zdala od ułatwień w nauce, zdala od pobłażliwości w klasyfikacyach, bez zamykania oczu na lekceważenie przepisów szkolnych, nawet — durus hic sermo dla dzisiejszych czasów — z narażeniem się na niepopularność. Senat zwraca się do Rady Szkolnej krajowej jako Władzy, której pieczy powierzony jest nadzór nad szkołami średniemi, a zwraca się z pełną wiarą, że ona obmyśli środki zaradcze i w ewentualnie powołanej ku temu celowi ankiecie proponuje swoje i innych zakładów krajowych wyższych współpracownictwo.

Zanim przyjdzie pora do zajęcia się postawioną kwestyą, pragnę kilka uwag rozświetlających rzucić na drogę, którą zamierzonej ankiecie kroczyć wypadnie. Bezstronność ich chciałbym oprzeć na dwóch zastrzeżeniach, po nad wszelką wątpliwość dla mnie pewnych: 1) Pismo Uniwersytetu nie jest oskarżeniem osób, szkoły, młodzieży, lecz jedynie i wyłącznie wskazaniem objawów, zauważonych przy spełnianiu wysokiego urzędu nauczycielskiego.

2) Pismo Uniwersytetu nie odnosi się do ogółu zapisującej się w album uniwersyteckie młodzieży, ale do znacznej jej części, którą pragnie ratować dla dobra społeczeństwa i jego przyszłości.

Pod takim kątem patrzenia na sprawę nie trudno przyznać, że na wytknięte niedostatki można było być przygotowanym. Wcześniej czy później musiały one wypłynąć. Jeszcze szczęśliwie się zdarza, że wyszły z takiej strony, z której nie są wyrzutem, ale ostrzeżeniem, nie raniącą krytyką, ale życzliwą radą.

Cienie na rzeczony stan szkolnictwa naszego rzucił szereg wypadków uprzednich i to dłuższy, niż je pismo Uniwersytetu wylicza. Szkoła nasza uległa przesileniu, znanemu pod nazwą „reformy Marchetowskiej". Poprzedziła ją obszerna dyskusya, wszczęta głównie przez społeczników. Krytyka zwracała się przeciw trudnościom, jakie ma młodzież w prędkiem zdobyciu patentu a z nim oczekiwanego chleba. Z zaciętością zwalczano gimnazyum i jego uprawnienia, nakładające zdaniem owej krytyki na młodzież mozoły, które zużywają siły potrzebne do późniejszego życia czynnego. Celem pocisków stała się szczególniej filologia jako nauka zbyt żmudna a dla praktycznego życia zgoła niepotrzebna. Jej przewaga to zawada nowoczesności, która przeniknąć winna cały ustrój wychowania publicznego. Dla uspokojenia malkontentów, a stali w ich obozie głównie ci, którzy albo wykształcenia gimnazyalnego nie mieli i tylko powierzchownie coś o nim zasłyszeli, albo sami niegdyś lub ich synowie w gimnazyach mieli kłopoty, otwierały się dwie drogi: albo pozostawić gimnazyum nie tknięte dla tych, którzy jego wymaganiom podołać zdołają, a stworzyć nowy typ szkoły z daleko idącemi ułatwieniami, albo gimnazyum przykroić do miary, jakiej się domagano. Marchet nie chciał nikogo zrazić, chciał wszystkim dogodzić. Prawa gimnazyum rozszerzył na nowe typy — to nie szkodziłoby gimnazyum — ale rozporządzeniami o egzaminowaniu i klasyfikacyi osłabił wszelką egzekutywę, a tem samem

potrzebę uczenia się. Nauka przestała być wychowawczą, bo przestała być pracą, która nakłada przymus na podjęcie trudów, wiodących do celu. Dziś cel ten narzuca się łatwo w postaci patentu, któremu przedewszystkiem brak świadectwa złożonych trudów, gdyż wykreślono notę z pilności. Do tak łatwego celu musiało się odpowiednio zdefiniować noty w skali postępów, a nawet zmodyfikować pojęcie „obyczajów“. Nowe przepisy wyznaczają również ułatwioną drogę do ustalenia tych not, drogę lekkiego oryentowania się a nie gruntownego egzaminowania, któreby ucznia wprawić mogło w kłopotliwe położenie, zabraniają też w świadectwie piętnować jego niedbalstwa i niesforności ujemnymi dodatkami, któreby go mogły kompromitować. — Z tak pojętego ducha reformy wypłynęła u nas wielce ciekawa interpretacya przepisów stypendyjnych, według której stypendyście bez względu na postępy w nauce nie ma się odmawiać koramizacyi kwitów. Czy o tem fundatorowie stypendyów myśleli?...

Skutek reformy Marchetowskiej prędko się ukazał: znienawidzona przez leniuchów pedanterya odpadła, ścisłości wymagań i obowiązkowości odjęto grunt, zaroiło się od „uzdolnień“ bez względu na podstawę i realną treść.

Koroną wyrzeczenia się wszelkiego nacisku na siły ucznia i hart jego woli jest matura. Znowu w niej nie chodzi o wiedzę, ani jej uporządkowanie, lecz jak w świadectwach klasowych stopień zajęła „zdolność przejścia do następnej klasy“, oparta bądźcobądź jeszcze na jakiejś ocenie postępu w każdym przedmiocie, tu wszystkiem jest „dojrzałość“, zadecydowana głosowaniem, w którem głosy są liczone a nie ważone. Falistą a raczej łamaną płynie ono linią, która zazwyczaj wygina się w górę — stąd roi się od „celujących“, ale niespodziewane także miewa spadki, jak nie może być zresztą inaczej tam, gdzie nastrój chwili, usposobienie subjektywne lub i sugestywne nadaje uchwałom kierunek wypadkowy. Walor egzaminu spadł, pozostała tylko jego wartość obiegowa. Nie odbywa

się on nawet z wszystkich przedmiotów, — o tem uczeń wcześnie wie i z góry lekceważy przedmioty, nie należące do egzaminu. Gdzie pozostawiony wolny wybór, dano mu sposobność wymijać mielizny w jego wiedzy. Sam wreszcie egzamin nie ma mieć formy właściwego egzaminu, lecz jest colloquium, pogawędką, w której prowadzeniu wykazuje przedewszystkiem nauczyciel większą lub mniejszą zręczność. Na ten talent nauczyciela uczeń liczy i jemu powierza się z zaufaniem. A rezultat? Jak w rozmowie salonowej, błyskotliwe rakiety olśniewają komisye, ale nie rozświetlają istotnej zawartości myśli ucznia. Protokół nie śmie zawierać oceny odpowiedzi, bo ta stanąć mogłaby w sprzeczności z uchwałą. Gdy n i e wiedza, ale tylko ogólne wrażenie członków komisyi ma być podstawą dojrzałości ucznia, czyż może on przynosić na uniwersytet jakieś wiadomości? Przynosi świadectwo z odznaczeniem — za inne nawet gniewa się.

Są oczywiście pośród dziesiątek tych eminentystów i prawdziwi celujący, których ta ryczałtowa dojrzałość krzywdzi i pozbawia chęci prężenia swych sił do pięcia się w górę. Po cóż silić się na „ardua“, gdy o „astra“ tak łatwo?—Matura dzisiejsza nie tylko może maskować wszystkie stopnie indolencyi, lecz zakrywa wybitniejsze zdolności, o których mówiły dawne świadectwa. Dziś generalia nawet mają zamilczeć o trwaniu studyów, a tylko ograniczać się do wymienienia zakładów. Tendencya podobna jak w świadectwach rocznych: jak tam niedopuścić do piętnowania lenistwa, tak tu konsekwentnie zamazać przeszłość a dać uczniowi tylko przepustkę do uniwersytetu. Ona nic nie mówi, a jaką ma wartość, mówi nam memoryał.

Na życie szkoły obok t. zw. reformy Marchetowskiej, która z gruntu zmieniła jej ducha, wpływają niemało nowe z a p a t r y w a n i a p e d a g o g i c z n e, kute na obcych terenach, bez znajomości szkoły i wyższych celów wychowawczych, a kolportowane przez jednostki ambitne, łaskotliwe na wszelkiego rodzaju nowalie. — Pedagogikę

niewątpliwie podniosło, a nawet rzec można, podstawę naukową teoryi wychowania dało, związanie jej z psychologią. Najgłębsze systemy wychowawcze wzniosły swą budowę i rozwinęły na ideach psychologicznych. Ale psychologia przeszła ogromną przemianę — dość wspomnieć, że w programie nowo powstałego uniwersytetu w Frankfurcie zaliczono ją wprost do nauk przyrodniczych. Teoretycznie rzecz biorąc, to czy fizyologiczny kierunek Wundta czy rozumowy Külpego, a choćby i francuska metoda kontrolowania stanów anormalnych może rozjaśnić niektóre kąciki tajników duszy, a zestawienie zaobserwowanych objawów może prowadzić do stawiania pewnych hipotez, — jednak przedwcześnie byłoby je uważać za prawa, za klucz do ogólnego tłómaczenia dróg, któremi kroczy życie psychiczne, a tem mniej do regulowania według nich życia praktycznego. Tymczasem w pedagogice, która niejako stosowaną jest psychologią, eksperyment poczyna uchodzić za pewnik, metoda jego przywłaszcza sobie prawa w imię doktryny ochrzczonej nazwą „pedagogiki eksperymentalnej“. Poważna krytyka odmawia tak pojętej pedagogice wartości podstawowej, nawet wobec takiego reprezentanta tego kierunku jak Meumann. Poważni nauczyciele protestują przeciwko wnioskom, jakie mają rzekomo płynąć z eksperymentów tej „szkoły“. Tymczasem mniej poważni, a tych jest zawsze więcej, chwytają tę nowość ze skwapliwością, z jaką w dziedzinach właściwych eksperymentowi wita się nowoodkryty pierwiastek. Wielu przekonywają amerykańskie „testy“, dające Amerykanom miarę potrzebnej do ich życia inteligencyi i duchowej mocy. Te nowości przedzierają się do nas — i już podobno w szkołach ludowych znajdują dostęp, w szkołach średnich nie brak im zwolenników.

W rzeczywistości owe zapiski, które na uczniach się robi lub z zeznań uczniów się ściąga, mają wartość zapisków doktora Pascala, który badając rozrost rodziny Rougon-Macartów, w długich foliałach zapisywał

zdrowych, chorych, trzeźwych, pijaków, zdolnych, tępych, słowem wszystkie kategorye ludzi, ale temi spostrzeżeniami kwestyi dziedziczności wcale nie rozświetlił. Nie myśli się o tem, że czas i energia, zużyte na wypełnienie rubryk kwestyonaryuszów, w żadnym stosunku nie stoją do korzyści, jakie odniosłaby szkoła, gdyby się je włożyło w sam trud uczenia i pracy nad młodzieżą, choć ta, co prawda, nie ściągnęłaby takiej uwagi na siebie i nie dałaby tyle o sobie mówić.

Inny wpływ wywiera na nowoczesne zapatrywania pedagogiczne filozofia modernistyczna, która rozszerzyła swoją treść po za granicę świadomości. Teren poezyi Maeterlincka, niedomówień i dreszczów, opanował Bergson, obiecując za magicznym przewodem intuicyi wprowadzić swoich zwolenników w tajemnice bytu i życia. Rozum zdetronizowany z praw pierwszego w człowieku czynnika na rzecz nieokreślonej, nurtującej w głębinach podświadomia czy czekającej na uświadomienie, tajemniczej mocy! My już widzimy na futurystach, do czego prowadzi wyswobodzenie się z więzów rozumu. Zachodzi obawa, by nie stało się bezdrożnem stąpanie wychowawcy po wyłącznej linii instynktu wychowanka. Montessori zrobiła głośną próbę z dziećmi w wieku przedszkolnym. Podobnie G. Kerschensteiner zużytkowuje drzemiące w upodobaniu dziecka popędy dla pierwszego jego rozwoju i elementarnej nauki, choć pojęcie „szkoły pracy“ ciągle rozwija i w swoich wyjaśnieniach pierwotny rdzeń rozszerza. To nawiązanie z poglądami Rousseau'a, który jednak wierzył w czystość natury ludzkiej, z lekkiem potrąceniem o system Pestalozzi'ego, choć bez jego systematyczności, przenosi zadanie szkoły na grunt praktyczno-społeczny: Montessori przez swoje „Case bambine“ zastępuje opiekę dzieciom, którym rodzice z warstw robotniczych dać jej nie mogą, — Kerschensteiner wytycza szkole śladami szkół zawodowych, od których wyszedł, cel praktycznego wyrobienia sił na użytek społeczny. James ubiera to w teorye amerykańskiego pragmatyzmu,

ściągając wszystko do rzeczywistości i użyteczności. Jeden Förster, rzadki wyjątek w rozgwarnej dziś literaturze pedagogicznej, zdołał z tych nizin instynktowych, z szarości codziennej, z któremi również się liczy, wznieść się do wyższych pojęć etycznych.

U nas w imię tych haseł, choć bez sięgania do motywów, które je wywołały, stawia się jako ideał „szkoły przyszłości" szkołę bez książki, bez potrzeby uczenia się. Tym nowościom zapewne przypisać trzeba, że egzamina wstępne do klasy I. poczynają sprawdzać coraz mniejsze postępy w płynnem czytaniu i poprawnem pisaniu, a coraz większe rozrzucenie uwagi, nie rzadki brak w ułożeniu i posłuchu, które dziecko robią tak miłem. W wyplenianiu tych naleciałości i kierowaniu młodzieży po drodze seryo pojętego przygotowania do życia gimnazyum napotyka na przeszkody: obok Marchetowskiej ochrony ucznia przed wszelkim wysiłkiem, osłabiają wychowawczą stanowczość przyjmujące się metody postępowania szkół ludowych w klasach niższych, a w średnich i wyższych reklamowane pomysły samoistności uczniowskiej. W początkowej nauce ma się „rozwijać", „budzić", później uczeń sam ma „dochodzić", „badać". Nowe wyrażenia zastąpiły dawne, spospolitowane: „uczyć" i „uczyć się". Gorzej z rzeczą. Miękko rzucone fundamenta nie dają trwałości dalszej budowie, którą w górnych kondygnacyach trzymać ma samodzielna praca uczniów. Ulegając łudzącej zresztą fikcyi, wciska sama szkoła w ręce chłopców, którzy mają dopiero uczyć się uczyć, dzieła naukowe, których zrozumienie wymaga wielkiego, specyalnego przygotowania i dojrzałości umysłu, wychodzącej daleko po za wiek szkolny. Taki owoc, przedwcześnie spożyty, umysłu nie zbogaci, a może go omamić złudnem wyobrażeniem o przedmiocie i o sobie. Umysł w epoce rozwoju to jak roślinka, która wprawdzie rośnie sama, ale pod czujnem okiem ogrodnika, jeżeli ma rozróść się planowo i szlachetne przybrać kształty. Te przesadne zwalniania cugli na rzecz

samokształcenia najbardziej niespodziewane puszczają pędy. Wywracają one na opak refleksyę Goethego, że człowiek jest „ein früh wissendes und spät übendes Geschöpf“. W pojęciu modernistów ćwiczenie jest prius — przez nie ma się dochodzić do wiedzy, choć dziś o wiedzy wogóle nie mówi się, lecz o „rozwoju“ i „samorzutności“. Malarstwo bez nauki staje się niezrozumiałe, rysunek bez uprzedniej wprawy w kierowaniu ołówkiem i barwą doprowadza do tego, że prace po 6-ciu latach nauki stoją na równi z pracami początkujących, jak to skonstatował inspektor zawodowy szkół wiedeńskich. W przedmiotach nauki same „budzenia“, „badania“ — by tylko nie nauka! I jakże się dziwić, że młodzież nie ma wiedzy, nie mą rozwiniętej pamięci, że nie umie uczyć się?

Jeżeli dzisiejsza szkoła czeka na inicyatywę ucznia a dla ucznia nauka jako praca nie przedstawia ponęty, to jeszcze jest niejedno, co go wprost od niej odwodzi: tu wchodzi między innemi po nad miarę wydymana strona fizyczna i przeróżne sporty. Nikt przeczyć nie będzie, że pewnej równowagi z zajęciami wyłącznie umysłowemi i życiem siedzącem potrzeba było — i racyonalnie prowadzona gimnastyka czyniłaby zadość rozumnym postulatom hygieny. Ale obowiązkowe rozmiłowanie się w ćwiczeniach fizycznych to coś, co wykracza nawet po za cytowane przykładowo zwyczaje starożytnych, u których przecież gimnastyka była wolnem i dobrowolnem zajęciem. Dziś trzeba widzieć, jakich uczniowie używają wybiegów, aby tylko od gimnastyki się uwolnić, a wspólne zabawy, które się im ofiaruje na wzorowo urządzonym torze Towarzystwa zabaw ruchowych, natrafiają na dość powszechną niechęć rodziców i ogólne uchylanie się uczniów starszych. Pokazuje się, że pęd do ćwiczeń fizycznych nie jest tak żywiołowy, jak z pewnej strony usiłuje się przedstawić i że tylko część młodzieży z większym zapasem energii i temperamentu za niemi się oświadcza. Tacy uczniowie dawniej szli na piłkę za miasto i oddawali się zapamiętale zwyczajowym zabawom studenckim

na wolnem powietrzu. Dziś różne importowane z obczyzny sporty, matchowe zabawy, doprowadzają rodziców do rozpaczy, bo wyrywają im dzieci z pod oka i odrywają je od nauki. Tak zapatrują się rodzice troskliwi o wychowanie swych dzieci, nietroskliwi są zadowoleni, że ich nie widzą. Pod przeważnym wpływem tych ostatnich szkoła tegoczesna przechodzi w stadyum przetwarzania się z instytucyi naukowej w społeczną. Ustala się nowa zasada, że szkoła ma nie kształcić, ale zapewnić chleb, że ma sama przykładać rękę, aby ten cel był osiągnięty, a nie patrzeć zbytnio na warunki, które w pierwszym rzędzie szkołę obchodzić powinny.

Gdyby to jeszcze w tem uspołecznieniu szkoły wszyscy godzili się na jedne środki i cele! Ale dziś szkolnictwo przedstawia kruchą łódź, gnaną po wzburzonych falach antagonizmów społecznych, narodowościowych i politycznych. W poddające się żagle dmą prądy zaoceaniczne, internacyonalne, miejscowe z całą różą wietrznych kierunków, w które ciągną dążenia partyjne i ambicye jednostek. W pretensyach do szkoły głucho o wychowaniu człowieka, ale myśli się o wychowaniu człowieka swego pokroju, swego poglądu, stronnictwa, partyi, własnych widoków. Szkoła przestaje być celem dla siebie, celem jednym, staje się środkiem do wielu celów, staje się instrumentem, na którym każdy wygrywa odmienną piosnkę. Nikt nie domaga się, aby szkoła podnosiła — kierunek pionowy wogóle dziś zarzucono, wszystko zeszło do poziomego strychulca codzienności. Spiżowych posągów Homera ani rycerskich zbroic bohaterów nie podziwia się — odstawia się je do lamusu muzealnego. Muzy historyi nie radzi się — jej każe się co najwyżej mówić i czuć po dzisiejszemu. Muzom wielkiej poezyi kazano zamilknąć. Jutrzenkę szczęścia zwiastuje szkiełko i oko, a jeszcze więcej muszkuły ręki, — w przekonaniu, że silny łokieć i dobra pięść najlepszą bronią do przebicia się przez życie. Zaryzykowano nawet paradoksalne twierdzenie, że „uniwersytyzm“ szkodzi patryotyzmowi.

Czy wobec nakreślonego stanu rzeczy, dotkniętych z lekka prądów i wpływów na szkołę, w sprawie obniżenia się, zaobserwowanego przez Uniwersytet, szkoła świadomie ma sobie coś do wyrzucenia? Ze stron szczerze miłujących szkołę padał niejednokrotnie zarzut, że ona tak wiele o sobie mówi, że robi wrażenie, jakoby chciała być ciągle widzianą, słyszaną, podziwianą po myśli przysłowia: „Chi mira, ammira“, że zbyt wysoko zatykając flagę uzdolnienia i nadobowiązkowości, odwraca wzrok od obowiązku i obowiązkowości, że rzucając się zanadto na ścieżki uboczne, traci z oczu proste tory organizacyjnego kierunku naukowego i wychowawczego. Zresztą dziwićby się trudno, gdyby oszołomiona lub porwana nowościami, które mkną ze zmiennością obrazów illuzyonu, najczęściej przy gongowym wtórze frazesu, popadła czasem w dezoryentacyę dróg i celów. Jedna byłaby rzecz zatrważająca, gdyby wśród powszedniości, jaka zalega podwoje dzisiejszej szkoły i w niej się rozpościerać usiłuje, zatracił się kierunek w szczyty. Rafael, chcąc wyrazić wzniosłość swego zawodu, uczynił się na jednym ze swych obrazów świadkiem wizyi, jaką ma św. Łukasz w chwili malowania Najśw. Panny. Zaiste wobec tego obrazu w Accademia di S. Luca w Rzymie można powiedzieć z Goethem: „Anmutiger kann man wohl nicht einen Beruf, zu dem man sich entschieden hingezogen fühlt, ausdrücken und bekennen“. W górę chronić się musi myśl wychowawcy, tam krzepić swą wiarę w szczytność swego zawodu, za taką wiarą pójdzie wola i czyn — prawdziwy i owocny.

Uwagi powyższe uchodzić mogą za spóźnione i za przedwczesne, — spóźnione ze względu na pojawienie się memoryału, przedwczesne wobec niedojrzałej jeszcze pory na proponowaną ankietę. Nadawać im może pewnej aktualności jeden fakt: z łona tego samego Uniwersytetu, który dojrzał obniżenie się poziomu umysłowego młodzieży, wyszedł n o w y s z e f naszego szkolnictwa, którego pierwsze przemówienia programowe są wielce zna-

mienne: w jednem z nich postawił godność nauczyciela na wysokim piedestalu posłannictwa, w drugiem zapowiedział reformę, która zachowa to, co było dobre, a poprawi to, co reformy wymaga. Otwarcie, bez ogródek, wypowiedział wojnę bladze i rzucił hasło oświatowej i moralnej odbudowy naszej szkoły, hasło, pochwycone skwapliwie przez najbardziej powołane u nas usta, z żywym oddźwiękiem w szerokich kołach społeczeństwa, poważnie myślących o naszej przyszłości i przyszłości naszej szkoły. *Quod faustum fortunatumque sit!*

Dr. Wincenty Śmiałek.

Kilka uwag o duchowości duszy ludzkiej.

(Dokończenie).

Co więcej, dziś jest rzeczą niewątpliwą, że pewne funkcye psychiczne odbywają się w ściśle oznaczonych miejscach szarej substancyi mózgu. Od paru dziesiątek lat mówi się o lokalizacyach mózgowych rozmaitych ruchów i wrażeń. Świetny początek pod tym względem uczynił w r. 1861 dr. Broca. Sławny ten chirurg i patolog paryski wykazał, że władza mowy artykułowanej mieści się w tylnej części trzeciego zwoju czołowego na lewej półkuli mózgu i że zanik lub uszkodzenie patologiczne tegoż zwoju sprowadza t. zw. afazyę, tj. chorobę, w której pacyent, jakkolwiek ma zupełnie zdrowy narząd głosowy, nie może mówić. Wypadki zupełnej afazyi są rzadkie. Zwyczajnie choroba ta jest częściowa i objawia się rozmaicie. Dotknięte nią osoby nie mogą wymówić pewnych głosek albo cyfr albo pewnych grup wyrazów, np. imion własnych, rzeczowników, czasowników. Znamy również na pewno ośrodki wzrokowe i słuchowe: pierwsze są osadzone w płacie potylicznym, drugie w skroniowym. Wielu badaczy wskazuje w mózgu nawet ośrodki myślenia. Jedni widzą je w płacie czołowym, drudzy w cie-

mieniowym, inni w spoidle wielkiem *(corpus callosum)*, wiążącem obie półkule mózgowe. Głośny anatom lipski Paweł Flechsig[1]) przypuszcza w mózgu ośrodki kojarzenne (asocyacyjne), które, łącząc zapomocą włókien ośrodki zmysłowe, tworzą ośrodki duchowe *(Geistescentren)*, czyli narządy myślenia[2]).

W odpowiedzi na ten zarzut przyznajemy najpierw, że między myśleniem a mózgiem istnieje wogóle pewna równoległość, czyli, że doskonałość myślenia odpowiada wogóle doskonałości mózgu. Czy jednak z tego wynika, iż mózg jest przyczyną sprawczą myśli? Gdy dwie rzeczy łączą się stale z sobą, można ten fakt tłumaczyć w trojaki sposób: albo jedna rzecz jest przyczyną drugiej, albo obie mają wspólną przyczynę, albo jedna jest warunkiem, dzięki któremu pewna przyczyna sprawia rzecz drugą. Które z tych trzech możliwych tłumaczeń odpowiada w poszczególnych wypadkach rzeczywistości, o tem przekonywamy się przez stosowanie rozmaitych metod indukcyjnych, a często także przez odpowiednie rozumowanie. Widząc np. stale stosunek prosty między ciepłem a wysokością słupka rtęci w termometrze, dochodzimy do wniosku, iż rtęć podnosi się w termometrze skutkiem ciepła. W innym wypadku twierdzimy, że zjawiające się równocześnie światło i ciepło mają swą wspólną przyczynę w słońcu lub zapalonej lampie. Jeszcze kiedyindziej jesteśmy pewni, że okno albo inny otwór jest tylko warunkiem dziennego oświecenia pokoju. Wprawdzie pokój będzie tem lepiej oświecony, im większe będzie okno, ale nie można powiedzieć, że okno

---

[1]) Gehirn und Seele, Lipsk 1896.

[2]) „Sie sind jene höchsten Werkzeuge — woła z radością Haeckel (Die Welträtsel, wyd. 7, Bonn 1901, str. 212) — welche des Denken und das Bewusstsein vermitteln... In neuster Zeit hat Flechsig nachgewiesen, dass in einem Teile derselben sich beim Menschen noch ganz besonders verwickelte Strukturen finden, welche den übrigen Säugetieren fehlen und welche die Ueberlegenheit des menschlichen Bewusstseins erklären".

oświeca pokój, bo wśród nocy pokój jest ciemny, chociaż nie stracił okna.

Wobec tego paralelizm między mózgiem a myślą nie musi dowodzić, że myśl ma swą przyczynę w mózgu. Obok tej hipotezy są możliwe, jak widać z powyższych uwag, dwie inne: paralelizm, o którym mowa, pochodzi albo stąd, że mózg i myśl mają swe źródło w jednej wspólnej przyczynie, albo, że mózg stanowi warunek myśli. Tamto przypuszczenie możemy zbyć milczeniem, bo nikt go nie czyni, ani my, ani nasi przeciwnicy; to przedstawia naszą naukę. Tak więc stoją przeciw sobie właściwie tylko dwie hipotezy: jedna materyalistów, druga nasza. Zachodzi pytanie, która z nich daje się usprawiedliwić. Materyaliści mieliby słuszność, gdyby zdołali wykazać, że myśl nie może być aktem różnej od mózgu duszy. Lecz tego nikt na świecie nie udowodnił; dowody, stawiane przez materyalistów, jak pouczają nasze uwagi, nie wytrzymują krytyki. Odwrotnie słuszność jest po naszej stronie, jeżeli nie ulega wątpliwości, iż myśl domaga się koniecznie duszy niemateryalnej. Że tak jest rzeczywiście, świadczy o tem wszystko, cośmy powyżej na uzasadnienie tej tezy powiedzieli.

Przystępując do oceny ważniejszych szczegółów, podniesionych w zarzucie, nie możemy się zgodzić na zbyt ogólne twierdzenie, jakoby nie było myśli tam, gdzie nie ma mózgu. Twierdzenie to stosuje się tylko do świata widzialnego. Natomiast wypowiedziane bez tego ograniczenia jest mylne, bo Bogu, czystemu duchowi, przysługuje niewątliwie najdoskonalsze poznanie umysłowe.

Również należy zauważyć, że przeciwnicy, przedstawiając paralelizm między rozumem a mózgiem, grzeszą przesadą. Wielu bardzo zdolnych ludzi miało rzeczywiście ciężkie stosunkowo mózgi, atoli faktu tego nie można uważać za prawo powszechne. Mózg tragicznie zmarłego Gambetty ważył zaledwie 1160 gramów, czyli równał się pod względem ciężaru mózgowi siedmioletniego dziecka, a był lżejszy, aniżeli mózgi idyotów i mikrokefalów doj-

rzałych. Odwrotnie właścicielem mózgu, ważącego 2200 gramów (cięższego mózgu ludzkiego dotąd na pewno nie znamy), był niejaki Rustan, który się niczem nie odszczególniał w dziedzinie umysłowej. Podobnie ilość i głębokość zwojów mózgowych nie mogą wcale uchodzić za miarę inteligencyi, którą materyalizm przypisuje także zwierzętom. Mózg n. p. królika posiada w stosunku do swego ciężaru znacznie większą powierzchnię, aniżeli mózg ludzki, a zwoje mózgowe są u słonia liczniejsze, aniżeli u człowieka — u osła i barana liczniejsze, aniżeli u psa. Niezależność znowu inteligencyi ludzkiej od jakości chemicznych mózgu wykazał obok innych Frémy [1]).

Nie dowodzi też wcale słuszności materyalizmu fakt, że zamieszanie w funkcyach mózgowych pociąga za sobą nieład w aktach rozumu. Wszak budowa naszego poznania umysłowego wznosi się na podstawie zmysłowej; skoro zaś wszelkie czynności zmysłowe zależą wewnętrznie od ciała, które razem z duszą jest ich podmiotem i przyczyną, łatwo zrozumieć, że stan ciała, względnie mózgu wpływa także na nasze akty duchowe. Innemi słowy, dusza, złączona z ciałem w jedną substancyę, posługuje się w swoich czynnościach umysłowych mózgiem jako narzędziem. Nie dziw przeto, iż stan mózgu wpływa na nasze czynności. Któż nie wie, że doskonałość gry na fortepianie zależy od doskonałości fortepianu? Na rozstrojonym lub zepsutym fortepianie nawet Chopin nie potrafiłby odegrać dobrze lub nie potrafiłby odegrać wcale swoich nieśmiertelnych kompozycyi. Jak jednak byłoby niedorzecznością mówić, że właściwie gra fortepian, a nie artysta, tak też tylko z pogwałceniem zasadniczych praw logiki można upatrywać w mózgu przyczynę sprawczą myśli.

---

[1]) Zob. Cotlarciuc, Das Problem der immateriellen, geistigen Seelensubstanz, Paderborn 1910, str. 326 i nn.; Dr. F. K. Walter, Gehirngewicht und Intelligenz, Rostock 1911.

Podobnego sofizmatu dopuszczają się materyaliści, ilekroć tenże wniosek chcą wysnuwać z pewnych fizyologicznych następstw, wywołanych w mózgu pracą umysłową. Skoro rozum bierze materyał do swej pracy od zmysłów, a mianowicie od wyobraźni, która ma siedzibę w mózgu, przeto jest rzeczą zupełnie naturalną, że natężona praca umysłowa przyspiesza w mózgu wymianę materyi lub sprowadza zmęczenie głowy. Skutki te jednak nie pochodzą wprost od myślenia; ich bezpośrednią przyczyną jest działanie władz organicznych.

Wreszcie co do lokalizacyi mózgowych, należy zaznaczyć, że nauka wskazała tylko — i to bardzo niedokładnie — ośrodki niektórych psychicznych funkcyi życia zmysłowego [1]). Natomiast niema i nie może być w mózgu narządu myślenia, ponieważ rozum jest władzą duchową [2]). To samo należy powiedzieć o aktach woli. „Ogólne pojęcia, sądy i wnioski — mówi słusznie J. Bessmer [3]) — tak samo, jak wewnętrzne akty właściwej woli ludzkiej, nie mogą mieć bezpośrednio żadnego podścieliska fizyologicznego i anatomicznego. To się sprzeciwia ich naturze wewnętrznej. Ogólne pojęcia, sądy i wnioski zdoła tylko ta władza utworzyć, która może zostawić na boku wszystko, co jest materyalne i osobnicze... Wznieść się ponad

---

[1]) Tak np. ośrodek wzroku znajduje się w płacie potylicznym, ośrodek słuchu w płacie skroniowym, ośrodek powonienia na tylnym brzegu płatu czołowego, w podstawowej części zakrętu sklepiennego (gyrus fornicatus), w t. zw. haku (uncus) i sąsiedniej części płatu skroniowego, ośrodek smaku prawdopodobnie w korze zakrętu hipokampa i klina (cuneus). Zob. Bądzyński, Beck etc., Fizyologia człowieka, 2 t., Warszawa 1915, t. I, str. 302 i nn.

[2]) Wobec tego nie możemy się także zgodzić na powiedzenie prof. Becka (dz. przyt., str. 302), że półkule mózgu są siedzibą władz umysłowych. Podobnie za mylne uważamy przedstawienie (str. 334) genezy owego procesu, „który nazywamy myśleniem“. W obu wypadkach autor pomieszał dwie istotnie różne dziedziny życia psychicznego: życie zmysłowe z umysłowem.

[3]) Die Grundlagen der Seelenstörungen, Fryburg 1906, str. 75.

materyę i zupełnie od niej abstrahować, tego nigdy i nigdzie nie potrafi siła, związana z materyą". „Rozum — są słowa Surbleda[1]), który całe życie poświęcił badaniom mózgu — ani nie jest umiejscowiony, ani nie daje się umiejscowić... Nauka o lokalizacyach mózgowych... wskazuje, iż rozum nie jest funkcyą mózgu" [2]). Jeżeli w szczególności chodzi o ośrodki asocyacyjne Flechsiga, które mają być narządami myślenia, to należy pamiętać, że wielu poważnych badaczy, jak Déjerine, Monakow, Siemerling, O. Vogt, Surbled, Sciamanna i inni, odrzuciło tę hipotezę nawet ze względów czysto anatomiczno-fizyologicznych.

Wspomnę jeszcze o jednym zarzucie materyalistów. Ileż stron ciemnych — powiadają oni — mieści się w spirytualizmie! Jakżeż natomiast prosty i jasny jest materyalizm! Pod względem metafizycznym przyjmuje on tylko jeden byt, jedną substancyę, materyę — i dlatego słusznie nosi nazwę monizmu. Pod względem naukowym stara się wszystko uprościć w jednej wspaniałej syntezie. Życie intelektualne i moralne sprowadza do fizyologii mózgu; życie fizyologiczne tłumaczy fizyczno-chemicznemi zjawiskami, które się odbywają w organizmie; fizyczno-chemiczne objawy uważa za ruchy mechaniczne; w końcu w ruchach mechanicznych widzi urzeczywistnienie praw matematycznych, mających swe źródło w je-

---

[1]) L'âme et le cerveau, wyd. 2, Paryż b. r. w., str. 126 i 204.

[2]) Podobne zapatrywanie spotykamy z przyjemnością u filozofa, którego system różni się gruntownie od naszego. „Das Gehirn — pisze R. Avenarius (Der menschliche Weltbegriff, wyd. 2, Lipsk 1905, nr. 132) — ist kein Wohnort, Sitz, Erzeuger, kein Instrument oder Organ, kein Träger oder Substrat usw. des Denkens. Das Denken ist kein Bewohner oder Befehlshaber, keine andere Hälfte oder Seite usw., aber auch kein Produkt, ja nicht einmal eine physiologische Funktion oder nur ein Zustand überhaupt des Gehirns". Por. także H. Schwarz, Grundfragen der Weltanschauung, Lipsk 1912, str. 77 i n.

dnej zasadzie. Gdzie przejrzystsza prostota, która według słów Boerhaavego jest znamieniem prawdy?

Nie twierdzimy wcale, jakoby w spirytualizmie wszystko było zupełnie jasne. Połączenie np. duszy z ciałem jest pewnego rodzaju tajemnicą. Należy bowiem pamiętać, iż niema na świecie systemu, dającego całkiem wyczerpujące i zadowalające odpowiedzi na wszystkie bez wyjątku zagadnienia, które w jego zakresie mogą być poruszone. Wynika to z ograniczenia naszego poznania. Owszem, im więcej postępują nauki, tem więcej (o czem wszyscy wiemy) nasuwa się zagadek dla umysłu ludzkiego. Z drugiej jednak strony spirytualizm, choć nie wyświetla wszystkiego, jest wolny od sprzeczności i odpowiada faktom psychicznym, czego wcale nie można powiedzieć o materyalizmie.

Jeżeli zaś przeciwnicy w prostocie swego systemu upatrują dowód jego prawdziwości, to znowu są w błędzie. „Ani wszystko prawdziwe jest proste — powiada słusznie w tym wypadku O. Liebmann[1]) — ani wszystko proste jest prawdziwe. Istnieją w najwyższym stopniu ciemne, zawikłane, nawet zamieszane prawdy i w najwyższym stopniu proste, łatwe błędy“. W rzeczy samej cóż bardziej prostego, niż nauka filozofów jońskich, według których ostateczną zasadą świata jest albo woda, jak mniemał Tales, albo powietrze, jak uczył Anaksymenes, albo ogień, jak sądził Heraklit? Czy jednak ich poglądy nie były marną utopią? Czy w podobne błędy nie wpadli Leibniz, Spinoza, Schelling, Fichte i Hegel, którzy chcieli w jednej formule zamknąć cały świat zmysłowy i psychiczny? Nie przeczymy, że rozum nasz posiada przyrodzoną skłonność, dzięki której pragnie wielość sprowadzić do pewnej jedności, atoli z drugiej strony taka synteza tylko o tyle jest uprawniona, o ile się zgadza z rzeczywistością. Utożsamiać wszystko w jednym bycie, widzieć wszędzie tylko materyę i przywiązane do

---

[1]) Gedanken und Tatsachen, Strassburg 1882, zesz. 1, str. 94.

niej siły mechaniczne, znaczy zamykać oczy na świat i zadawać gwałt oczywistym faktom. Chociaż zatem należymy do wyznawców i rzeczników starej zasady: *Non sunt multiplicanda entia sine necessitate*, jednakowoż przyjmujemy w człowieku substancyę duchową, bo żywimy najsilniejsze przekonanie, że jej istnienia domaga się koniecznie życie rozumu i woli [1]). Tak tedy teza nasza daje się na pewno udowodnić i obronić [2]).

Z duchowości duszy wypływają dwa bardzo ważne wnioski. Jeden dotyczy jej nieśmiertelności, drugi jej początku. Ponieważ do omówienia pierwszego potrzeba wiele czasu, przeto w tem miejscu zajmiemy się tylko drugim.

Dusza niemateryalna, tj. niezawisła wewnętrznie w swem istnieniu od ciała, może powstać tylko przez czyn stwórczy Najwyższej Istoty. Jakoż powstanie rzeczy musi odpowiadać jej istnieniu; powstanie bowiem zmierza do istnienia. Skoro zatem dusza nie zależy w istnieniu od ciała, jasne jest, iż także powstaje niezależnie od wszelkiej czynności cielesnej. Innemi słowy, dusza nie rodzi się w ścisłem znaczeniu tego słowa. Lecz nie może też powstać przez podział innej duszy, gdyż żadna dusza nie posiada części. Więc może być tylko stworzona. Że zaś czynność stwarzania przysługuje — jak wykazaliśmy gdzieindziej [3]) — wyłącznie Bogu, przeto słusznie mówimy, że Bóg stwarza bezpośrednio każdą duszę ludzką.

Wobec tego mylą się materyaliści, którzy, uważając duszę za funkcyę wypadkową sił organizmu, tłumaczą jej początek działaniem materyalnem. Z błędem tym idzie zwyczajnie w parze skrajny transformizm, ucząc,

---

[1]) Zob. Fr. Klimke, Die Hauptprobleme der Weltanschauung, Monachium i Kempten 1910, str. 31 i nn.; Ceilier, dz. przyt., str. 113 i nn.

[2]) Rozwiązanie innych zarzutów przeciw niematerialności duszy znajdzie czytelnik w mojej Psychologii, t. III, str. 153 i nn.

[3]) Kosmologia ogólna, Warszawa 1907, str. 93 i nn.

że człowiek nie tylko co do ciała, lecz także co do duszy wywodzi swój ród od zwierzęcia. Naszem zdaniem czynność materyalna nie może sprawić skutku duchowego, a duchowa dusza nie może pochodzić od duszy materyalnej [1]). Mylą się dalej panteiści, według których tak dusze, jak wszystkie wogóle substancye i przypadłości, bądź materyalne, bądź duchowe, są zewnętrznemi emanacyami lub wewnętrznemi modyfikacyami jednej, koniecznej, wiecznej i nieskończonej substancyi [2]). Takiemu pojmowaniu rzeczy sprzeciwiają się świadomość i doświadczenie zewnętrzne: pierwsza mi mówi o samodzielnem istnieniu mej jaźni, drugie wskazuje w naturze mnóstwo najrozmaitszych substancyi. Nadto nieskończenie doskonała i wolna od wszelkiego złożenia substancya Boża nie może ani wyłaniać z siebie żadnych bytów, ani podlegać wewnętrznemu rozwojowi. Mylą się również zwolennicy t. zw. generacyanizmu lub traducyanizmu, twierdząc, że dusza dziecka rodzi się z duszy rodziców. Jest bowiem oczywiste, że ani dusze rodziców, ani części ich dusz nie mogą przejść do dziecka: w pierwszym wypadku rodzice traciliby swoje dusze, w obu zaś dusza dziecka musiałaby być złożona. Myli się nakoniec Frohschammer, który w świecie uczonym jest sławny tylko z tej nauki, że rodzice stwarzają w ścisłem znaczeniu duszę dziecka [3]).

„Jak wszelako — pyta tutaj H. Beaunis [4]), znany fizyolog z Nancy — w hipotezie stwarzania (którego Bóg jest sprawcą) wytłumaczyć mnóstwo faktów fizyologicznych, a w szczególności dziedziczność? Jak wytłumaczyć

---

[1]) Zob. moją pracę p. n.: O zwierzęcem pochodzeniu człowieka. Lwów 1911, str. 13 i nn. (Odbitka z „Mies. Kat. i Wych.“).

[2]) Por. Rehmke, Lehrbuch der allgemeinen Psychologie, Hamburg i Lipsk 1894, str. 134 i nn.

[3]) Zob. moją Psychologię, t. IV, str. 1 i nn.

[4]) Nouveaux éléments de physiologie humaine, Paryż 1876, str. 13.

przechodzenie pewnych znamion intelektualnych, które niekiedy przeskakują kilka pokoleń“?

Sądzę, iż fakta, o których mowa, odpowiadają dobrze naszemu kreacyanizmowi. Skoro ciało dziecka pochodzi od ciała rodziców, łatwo zrozumieć, że pewne zjawiska fizyologiczne przenoszą się z rodziców na dziecko. Nadto ponieważ życie umysłowe zależy ubocznie od ciała, przeto niema także nic w tem nadzwyczajnego, iż dzieci są często podobne do rodziców co do pewnych cech intelektualnych. Że zaś te cechy zjawiają się nieraz dopiero w późniejszych pokoleniach, jest to tajemnicą nie tylko dla nas, lecz także dla naszych przeciwników.

Spierano się nieraz w naszym obozie, kiedy Bóg stwarza duszę. Na to pytanie, które zresztą nie ma zasadniczego znaczenia, były i są do dnia dzisiejszego przedewszystkiem dwie odpowiedzi. Zdaniem św. Tomasza [1]), za którym z żyjących myślicieli idzie na czele innych do dnia dzisiejszego Mercier [2]), płód ludzki posiada najpierw duszę roślinną, następnie, gdy się więcej rozwinie, duszę zwierzęcą, a w końcu stworzoną przez Boga duszę rozumną. Więcej wszakże zwolenników liczy obecnie słuszne według nas zapatrywanie Alberta W., według którego stworzenie duszy ludzkiej odbywa się w chwili poczęcia.

W każdym razie należy z całą stanowczością odrzucić t. zw. p r e e g z y s t e n c y ę dusz.

Ciekawa ta nauka bałamuciła wiele umysłów od najdawniejszych czasów. Spotykamy ją w starożytności niemal u wszystkich ludów wschodnich. Pośród filozofów godni są tu wzmianki Pitagoras, Empedokles, a przedewszystkiem Platon. Platon uczył w Fedrosie, Menonie i Fedonie, że dusze nie miały początku; w Tymeuszu

---

[1]) S. th., I, q. 118, a. 2.

[2]) Psychologie, wyd. 9, Lowanium i Paryż 1912, t. II, str. 329 i nn.

przyznał im genezę w czasie. W obu jego hipotezach dusze ludzkie istniały przed ciałami, wiodąc na innych światach życie szczęśliwe: według pierwszej ponoszą one w ciałach karę za dawne przewinienia, według drugiej połączyły się mocą rozkazu Stwórcy z ciałami, by dać początek rodowi ludzkiemu. Przewodnią myśl tej nauki spotykamy także u niektórych pisarzy chrześcijańskich, np. u Origenesa, który mniema, że Bóg stworzył przed światem widzialnym wszystkie jestestwa rozumne, że wiele z nich dochowało Mu wierności (aniołowie), że inne od Niego odpadły i dlatego częścią stały się szatanami, a częścią musiały jako dusze ludzkie wejść w ciała[1]. W późniejszych czasach wskrzesił naukę o preegzystencyi dusz Leibniz, nadając jej nową postać. Jego zdaniem Bóg stworzył naraz wszystkie dusze ludzkie i umieścił je *in lumbis* Adama w stanie pewnego odurzenia. W tym stanie pozostają one w potomkach Adama, póki z rozporządzenia Bożego nie nadejdzie czas narodzin odpowiednich ludzi; z tą chwilą dusze przechodzą w stan świadomości.

Nie brak także wyznawców preegzystencyi, która zwyczajnie łączy się z metempsychozą czyli wędrówką dusz, w XIX. wieku i za dni naszych. Należą do nich J. H. Fichte, Schopenhauer, Nietzsche, Tröltsch, J. Reynaud, L. Figuier, P. Leroux, Laurent, K. Flammarion, Pezzani, In. Calderone i w. i. U nas godzi się w tem miejscu wymienić przedewszystkiem W. Lutosławskiego, który nieraz przyznawał się do wiary w preegzystencyę. W dziełku p. n.: „Nieśmiertelność duszy i wolność woli“ wyraża się o tym przedmiocie w następujący sposób: „Jeżeli staniemy na gruncie ścisłego rozumowania, to... skłonimy się raczej, dla zachowania duszy jej charakteru substancyi czyli istoty rzeczywistej, do uznania jej istnienia bez początku... Wieczne istnienie wielości dusz nie jest trudniejsze do zrozumienia, niż istnienie jednej istoty do-

---

[1]) Zob. Zahn, Das Jenseits, Paderborn 1916, str. 101 i nn.

skonałej, stwarzającej wszystkie inne w określonym czasie“ (str. 155 i n.)[1]).

Jakież tedy racye przemawiają za tą nauką? Czy świadomość mówi nam cokolwiek, jakby w razie preegzystencyi spodziewać się należało, o naszym bycie dawniejszym? Czy z tej przeszłości ubiegłej pamiętamy choć jeden drobny szczegół? Nie. Lutosławski zasłania się uwagą, że „również nie pamiętamy pierwszych miesięcy dzieciństwa, a jednak nie wątpimy, żeśmy wtedy istnieli“ (str. 156). Niezawodnie, lecz mamy na to niezbite dowody. Znamy wielu świadków, którzy patrzyli na początek naszego życia. Z drugiej strony własna indukcya prowadzi nas do tego samego wniosku: ponieważ z doświadczenia wiemy, w jakim stanie przychodzą na świat dzieci, wnosimy słusznie, żeśmy się także w podobnym stanie narodzili. Natomiast twierdzenie, jakobyśmy przed obecnem życiem istnieli, nie opiera się o żadną podstawę. Wprawdzie Lutosławski, zabierając się do uzasadnienia swej tezy, zapowiada, iż „staje na gruncie ścisłego rozumowania“, atoli tej zapowiedzi wcale nie spełnia. Bo przecież z charakteru substancyalnego duszy nie wynika jej istnienie bez początku; w takim wypadku wszystkie substancye musiałyby być wieczne. Nie wynika też z powiedzenia, że „wieczne istnienie wielości dusz nie jest trudniejsze do zrozumienia, niż istnienie“ jednego Boga, stwarzającego dusze w czasie. Na te słowa nie mogę się zgodzić. Ponieważ dusze, jako byty niekonieczne, nie mają racyi istnienia w sobie, przeto, gdyby nawet istniały odwiecznie, zawdzięczałyby swoje istnienie komu innemu; ponieważ dalej jako substancye duchowe nie powstały przez przemianę rzeczy już istniejących, dlatego mogły

---

[1]) Zob. także Eleusis, Czasopismo elsów, Kraków 1903, str. 94: „Dusza nie ma pochodzenia — jest jedną z wiecznych iskier Bóstwa o nieskończonej przeszłości. W żywotach ubiegłych ta dusza wiele już przyjmowała ciał od różnych rodziców“. To samo w pracy p. n.: Seelenmacht, Lipsk 1899, str. 147 i nn.

być powołane do bytu tylko przez akt stwórczy. Zresztą filozof nasz sprzeciwia się najoczywiściej sam sobie. Na stronicy 155. pisze, iż „Bóg w każdej chwili stwarza je (dusze) na nowo, gdyż żadna nie mogłaby istnieć nawet jednej chwili bez Boga“, a na następnej chwali się, że przez przypuszczenie preegzystencyi „uwalniamy się od tłumaczenia tajemniczego aktu stworzenia w czasie wiecznych (*sic!*) i niezniszczalnych istot“. Tak się przedstawia „ścisłe rozumowanie“ autora!

Rozumiał niezawodnie sam Lutosławski, iż bronionemu przezeń poglądowi brakuje podstawy, skoro bezpośrednio po owem „ścisłem rozumowaniu“ mówi tylko o „możliwości odwiecznego istnienia dusz“ (str. 156). Z filozoficznego punktu widzenia nie mielibyśmy nic do zarzucenia temu powiedzeniu, oczywiście pod warunkiem, że odwiecznie istniejące dusze były stworzone przez Boga[1]). Czy wszakże sama możliwość usprawiedliwia jakąkolwiek hipotezę? Ależ w takim razie można przyjąć jako fakt wszystko, co się komu podoba, byleby w tem nie było wewnętrznej sprzeczności. Innemi słowy, w takim razie niema różnicy pomiędzy hipotezą a fikcyą. To też za prosty wymysł, za czystą bajkę należy uważać naukę o preegzystencyi dusz ludzkich.

X. Wais.

---

[1]) Widać z tego, że przyjmujemy możliwość odwiecznego stworzenia (zob. moją Kosmologię ogólną str. 108 i nn.). Z wiary jednak wiemy, że Bóg stworzył świat materyalny i duchowy w czasie. Preegzystencyę dusz potępił w r. 553 Sobór konstantynopolski II.: „Si quis fabulosam animarum praeexistentiam... asseruerit, anathema sit“.

Konferencya O. Lacordaire'a o ustroju Kościoła.[1]

Ze wszystkich rodzajów niewoli najcięższą, najzgubniejszą w swych skutkach jest niewola umysłu. Otóż umysł jest niewolnikiem zawsze wtedy, gdy jest poddany powagom indywidualnym; taki zaś jest los ludzkości, że rozum kształci się przez nauczanie i że wszyscy ludzie bez wyjątku są poddani od początku jakiejś powadze. Lud, czyli ogromna większość naszego plemienia, dźwiga zawsze jarzmo pierwszego swego wychowania; a ludzie, zwani oświeconymi, ulegają — co najmniej — wpływom nauk swojego kraju i swego wieku. Cóż więc może uczynić człowiek, żeby wyswobodzić się z tej niewoli? Jakiż na to sposób, żeby umysł jego zdobył sobie wolność? — Dwa są na to sposoby: trzeba, żeby on albo myślał sam przez się, albo, jeżeli jest rzeczą stwierdzoną, że myśl jego nie obejdzie się bez nauczania, jeżeli on nie może myśleć sam przez się, bo tylko Bóg tak myśli, wtedy koniecznie musi on mieć tu na ziemi jakąś powagę, którąby przedstawiała mądrość nieskończoną Boga i którąby odsłaniała każdemu człowiekowi myśl Bożą przez nauczanie, od Boga postanowione. Powaga ta istnieje i widzieliśmy[2]), że można ją poznać po znamieniu powszechności. Dzisiaj trzeba nam posunąć się dalej w badaniu natury tej powagi, która wyswobadza umysł ludzki; trzeba nam zobaczyć, jaki jest jej ustrój, — ustrój, który otrzymała od Boga, żeby mogła żyć przez wszystkie wieki.

Otóż wszelka powaga składa się: po pierwsze, z hierarchii, t. zn. z zastępu ludzi, zespolonych w dążeniu do jednego celu; a po drugie, z władzy, która jest tej hierarchii powierzona i którą ona posługuje się według swego upodobania. Treścią więc tej mowy będzie rozwój hierarchii Kościoła katolickiego i jego władzy.

Ponieważ prawda jest pierwszem dobrem i — można powiedzieć — jedynem dobrem człowieka i ponieważ nikt nie powinien być pozbawiony tego dobra, bez którego niema żadnego innego, więc pierwszem staraniem Boga musiało być, żeby Kościół Jego stał się powszechnym — tak, żeby mógł, podobnie jak światło słoneczne, oświecać każdego człowieka, przychodzącego na świat. To też Pan nasz rozpoczął od założenia apostolatu, tj. od wyboru pewnej liczby ludzi, którzy mieli być posłani do wszystkich krajów ziemi. Poganie zamknęli wiedzę kapłańską w swoich świą-

[1]) Por. „Mies. Kat. i Wych.". z r. 1915, str. 559 o konferencyach Lacordaire'a.

[2]) W 1-ej konferencyi z r. 1835. Dop. tłum.

tyniach. Tylko niewielu cudzoziemców, którzy przybyli z dalekich stron, aby od nich czegoś się dowiedzieć, dopuszczano do świętego przybytku. Filozofowie udzielali swych nauk tylko w szkołach, w ogrodach lub pod portykami, w otoczeniu oddających im cześć przyjaciół. Nie tak pojmuje nauczanie J. Chrystus; nie mówi On do tych, którym powierza swoje słowo nie stworzone do swych Apostołów: Będziecie czekali, aż ktoś przyjdzie zapytywać was o prawdę; nie mówi do nich: Będziecie przechadzali się w ogrodach i pod portykami, ale mówi do nich: „Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody" (Mat. 28, 19). Nie obawiajcie się ani trudności języków, ani różnicy obyczajów, ani zwierzchności ziemskich; nie badajcie biegu rzek ani kierunku pasm górskich; idźcie prosto przed siebie; idźcie, jak idzie piorun Tego, który was posyła, jak szło słowo twórcze, które wniosło życie w chaos, jak idą orły i Aniołowie.

A jacyż to byli ci pierwsi Apostołowie, przez Niego wybrani? Mogliście widzieć, Panowie, w czasach nam blizkich, próby apostolatu, ludzi, którzy po całem stuleciu zniszczenia uznali za rzecz dobrą i piękną budowanie: gdzież oni szukali swoich apostołów? Na najwyższych stopniach świata; pozyskiwali sobie mężów uczonych, przodowników przemysłu, urzędników państwa. Nie tak uczynił Chrystus: chodziło o uwolnienie rodzaju ludzkiego od błędu; On wybrał swoich Apostołów nie wśród ciemiężycieli umysłu, ale wśród ciemiężonych; nie wśród filozofów i uczonych, ale wśród ubogich i prostaków. Pewnego dnia, przechadzając się na wybrzeżu Morza Galilejskiego, ujrzał dwóch rybaków i rzekł do nich: „Pójdźcie za mną a uczynię was, że się staniecie rybitwami ludzi" (Mat. 4, 19). I tacy to byli pierwsi wyswobodziciele ducha ludzkiego.

Kiedy apostolat był już założony jako pień episkopatu, rozeszli się ci ludzie na wszystkie cztery strony świata, żeby w różnych krajach głosić Ewangelię. Ale jeszcze Kościół nie posiadał wszystkich składników potrzebnych do powszechności: bo któż miał utrzymywać wszystkich tych Apostołów rozprószonych w jednym związku, w jednej nauce? Kto miał przeszkodzić temu, żeby między tymi oddzielnymi kościołami nie wytworzyły się z czasem różnice i przeciwieństwa? Kto miał starać się o to, żeby one pozostawały ze sobą w łączności? — Niema powszechności bez jedności. A więc apostolat potrzebował jakiegoś centrum; Apostołowie i biskupi, ich następcy, potrzebowali jednej głowy, jednego wodza. Myśl ta była jeszcze śmielsza i jeszcze nowsza niż apostolat. Jak to? Jeden wódz dla całego świata? Jak to? Na głowę jednego człowieka włożyć powagę, przeciwko której mogliby kiedyś walczyć wszyscy władcy ziemi! Ześrodko-

wać jedność Kościoła w jednej głowie, którą może strącić jedno cięcie miecza! To było nowe, śmiałe, niemożliwe, a jednak to jest. Nie daleko od miejsca, gdzie zasiadali niegdyś zbrojni władcy świata starożytnego, siedzi starzec, którego głos rozkazuje i znajduje posłuch nie tylko w granicach największego państwa ziemskiego, jakie kiedykolwiek istniało, ale i po za wszystkiemi morzami. On przetrwał nie jeden wiek, ale 18 wieków. On widział podnoszące się przeciwko niemu odszczepieństwa, herezye, króle, republiki, a pozostał niezachwiany na grobie, który stanowi jego siłę, mając za całą straż te krótkie słowa: „Ty jesteś opoką, a na tej opoce zbuduję kościół mój“ (Mat. 16, 18).

Ale jeszcze Kościołowi czegoś brakowało. Gdyby wszyscy jego słudzy byli biskupami, z Papieżem na czele, mogłyby łatwo zerwać się więzy jedności dlatego, że godność i niezawisłość każdego byłaby zbyt wielka. A więc J. Chrystus ustanowił kapłaństwo, które miało, posłuszne biskupom, rozszerzać słowa Ewangelii, składać ofiarę i rozdzielać część Sakramentów; potem dyakonat, który miał wspierać kapłanów w ich urzędzie.

Namiestnik J. Chrystusa miał posiadać władzę związywania i rozwiązywania na całej ziemi; on sam mógł ustanawiać biskupów, wyznaczać im ziemie i owczarnie. Biskupi mieli otrzymać władzę związywania i rozwiązywania w swoich dyecezyach; oni mieli wyznaczać kapłanom podwładnym ziemie i owczarnie. Kapłani mieli stykać się bezpośrednio i stale z wiernymi, składać za nich świętą ofiarę, rozdzielać Sakramenty, z wyjątkiem Bierzmowania i Kapłaństwa, głosić słowo Boże. Orzeczenia w rzeczach wiary, przepisy karności ogólnej, rządy Kościoła były zastrzeżone Papieżowi i biskupom. Taki ustrój Kościoła zapewniał mu jedność monarchii, działalność rozszerzającą demokracyi, a między niemi możną niejako arystokracyę, i tak w jego łonie były zespolone wszystkie pierwiastki potęgi: jedność, która utrzymuje porządek, działalność, która zdobywa, umiarkowanie, które nie pozwala jedności stać się absolutną a działalności stać się nieoględną. Jest to ustrój doskonały, jakiego żaden rząd nie posiadał, bo we wszystkich rządach ludzkich dążył zawsze każdy z owych trzech pierwiastków potęgi do zniszczenia innych pod wpływem namiętności ludzkich. Bóg sam dokonał przez Syna swego tego arcydzieła.

Taką jest, Panowie, hierarchia, która jest założona dla zabezpieczenia na zawsze interesów prawdy. Ale wyłuszczając środki, które służą do tego celu, spełniłem tylko część swojego zadania. Bo czemże jest hierarchia? Są to ludzie. A czem są ludzie, jeżeli nie mają jakiejś potęgi? Czemże jest sam rodzaj ludzki, jeżeli jest bezbronny? A więc oprócz hierarchii musi

Kościół posiadać jakąś potęgę. Otóż są tylko dwa rodzaje potęgi: siła, która zabija ciało i siła przekonywania, która zabija duszę, aby ją odmienić i inną postawić na jej miejscu. Która z tych potęg dana jest Kościołowi przez Boga?

Pewnego dnia, w jednem z miast wschodnich modlili się ludzie w pewnej izbie i oczekiwali czegoś, co było im przyrzeczone. Nagle przyszedł z nieba szum jakby wichru gwałtownego i napełnił cały dom, w którym byli; języki ogniste okazały się nad ich głowami i pełni Ducha Bożego zaczęli mówić wszystkimi językami, którymi mówi się na ziemi, a jeden z nich, imieniem Piotr, stanąwszy, podniósł głos swój i tak przemówił do rzeszy zgromadzonej: „Mężowie żydowscy i wszyscy, którzy mieszkacie w Jeruzalem, niech to wam jawno będzie, a przyjmijcie do uszu słowa moje. Albowiem nie są pijani ci, jako wy mniemacie,... ale to jest, co rzeczono jest przez Proroka Joela: I będzie w ostateczne dni (mówi Pan) wyleję z Ducha mego na wszelkie ciało a prorokować będą synowie wasi i córki wasze, a młodzieńcy wasi widzenia będą widzieć a starcom waszym sny się śnić będą“ (Dz. Ap. 2, 14—17). Potęga więc, którą Bóg dał swojemu Kościołowi, była to potęga Jego Ducha. Ale to potęga niewidzialna. Bóg zaś chciał dać także Kościołowi, który miał działać w czasie. potęgę czasu, tj. albo siłę przekonywania albo siłę materyalną, bo tylko te dwie działają na człowieka w czasie. Którą więc z nich otrzymał Kościół?

Nie jest to siła materyalna. Kiedy J. Chrystusa napadnięto w ogrojcu oliwnym, jeden z Jego uczniów dobył miecza, ale Pan rzekł do niego: „Obróć kord swój na miejsce jego: abowiem wszyscy, którzy miecz biorą, mieczem poginą“ (Mat. 26, 52). A kiedy rozsyłał swoich Apostołów, żeby głosili słowo Boże, powiedział do nich: „Oto ja was posyłam jako owce między wilki: bądźcież tedy mądrymi jako wężowie, a prostymi jako gołębice“ (ib. 10, 16). — Widzicie, Panowie, że my nie jesteśmy uzbrojeni jako wojownicy, ale jako owce i gołębie; tylko roztropność jest nam zalecona, ponieważ nikt nie ma prawa obchodzić się bez niej w stosunkach z ludźmi. Jedyną zemstą, na którą nam pozwala Ewangelia, jest strząśnięcie prochu z nóg naszych: „Ktobykolwiek was nie przyjął, ani słuchał mów waszych, wychodząc precz z domu abo z miasta, otrząśnijcie proch z nóg waszych!“ (ib. w. 14). Proch — to, co jest najsłabsze, najmniej szkodliwe, najbliższe nicości! Oto jest wszystko, na co nam pozwolono: strząsnąć na świat trochę kurzu!

A więc dana nam jest tylko siła przekonywania. Jakież jest jej działanie?

Podstawą tej siły jest rozum. Kościół więc musi posiadać najwyższy rozum, jaki istnieje pod niebem. Rozum ten powinien być najwyższą potęgą metafizyczną, najwyższą potęgą historyczną, najwyższą potęgą moralną, najwyższą potęgą społeczną.

Najwyższą potęgą metafizyczną, to znaczy, że na wszystkie zagadki i tajemnice przeznaczeń ludzkich, on ma podawać rozwiązanie najrozumniejsze i najwznioślejsze, wobec którego nie może utrzymać się żadna z odpowiedzi, które dawały w różnych czasach nauki religijne i filozoficzne. Że Kościół posiada ten rozum najwyższy, tego będę starał się dowieść w tych konferencyach.

Najwyższą potęgą historyczną: przyszłość jest dla nas zasłonięta i nie wiemy, co przyniesie; ale przeszłość należy do tych, którzy ją posiadają rzeczywiście i nikt, największy nawet geniusz lub najmożniejszy władca, nie może sobie wyrobić prawa obywatelstwa w przeszłości, jeżeli ona go nie nosiła w swych głębiach niedostępnych. Otóż nikt nie zajął w niej tyle miejsca, jak Kościół. Kościół — to przeszłość ludzkości, to sama jej historya. Jeżelibyście więc chcieli zrobić się czemś po za nim, musielibyście siebie, swój proch, postawić na początku i powiedzieć: „Oto prawda zaczyna się odemnie!“ Byłoby to uroszczenie, którego ludzkość nie zniesie nigdy. To znamię nowości właściwe jest sektom chrześcijańskim i to jest wyrok, który je potępia. Jak wczoraj, tak dziś i za tysiąc lat, jeżeli one jeszcze żyć będą, można będzie powiedzieć do ich założyciela: „Owego dnia, o tej godzinie, byłeś w Witembergu, stanąłeś na placu publicznym, w habicie zakonnym; trzymałeś w rękach bulę twego papieża i wrzuciłeś ją w ogień!... Ale ludzkość wyprzedziła cię o kilkadziesiąt wieków, — to było zapóźno“! — A kiedy do nas ktoś mówi, — do nas, którzy mamy za sobą tak długą przeszłość, że zrobilibyśmy dobrze, gdybyśmy stali się bardziej nowoczesnymi, jest to tak, jak gdyby ktoś powiedział do jednego z królów francuskich, żeby poszedł do kościoła św. Dyonizego, wyjął stamtąd kości swoich przodków i wrzucił je do Sekwany, na to, żeby grobowiec był czystszy, gdy on sam tam spocznie! Ludzie rozumieją dobrze, że ta potęga historyczna jest naszą siłą, naszą chwałą i dlatego zaprzeczają nam jej zaciekle i wymyślają przeciwko nam bajeczne chronologie. Łatwo to zestawiać cyfry, ale człowiek nie stwarza dni, a kiedy zmęczy się układaniem kłamliwych rodowodów, znajduje niespodzianie na jakimś kamieniu albo na kawałku starego papieru coś, co wystarcza na zniweczenie jego wymysłów. My przeciwnie, my mamy swoją tradycyę, swoją księgę, a jako świadka tej tradycyi, jako stróża tej księgi, naród, żyjący od tylu wieków. Są Żydzi wśród moich słuchaczy — i wszędzie znajduje się ten człowiek, którego język ludowy tak

dobrze nazwał „Żydem wiecznym tułaczem". Gdziekolwiek kapłan przemawia, musi obudzić jakiegoś człowieka wiecznego, Żyda, który powstaje, żeby powiedzieć: „Tak, to prawda, ja tam byłem"!

Najwyższą potęgą moralną: Kościół bowiem jest czysty, on rodzi czystość, a niema moralności bez czystości. Czystość tworzy rodziny, dynastye królewskie, geniusz, narody długo żyjące i silne. Gdzie niema tej cnoty, tam jest tylko błoto w grobowcu. O, jeżeli tu są ludzie, którzy nie są moimi braćmi przez wiarę, chcę tylko odezwać się do ich sumienia i zapytać ich: Czy jesteście czyści? Jakże moglibyście wierzyć, jeżeli nie jesteście czyści? Czystość jest starszą siostrą prawdy; bądźcie czyści przez jeden rok a odpowiem za was przed Bogiem. Dlatego, że posiadamy tę cnotę, jesteśmy silni, ci zaś, którzy uderzają na bezżeństwo kapłańskie, tę aureolę duchowieństwa katolickiego, wiedzą dobrze, co robią. Sekty heretyckie zniosły je u siebie; jest to termometr herezyi: każdemu stopniowi błędu odpowiada stopień, jeżeli nie pogardy, to przynajmniej obniżenia tej cnoty niebiańskiej.

A wreszcie, najwyższą potęgą społeczną: żadna społeczność nie może istnieć, jeżeli nie jest oparta na poszanowaniu władzy przez ludy i ludów przez władzę. Otóż Kościół katolicki podnosi poszanowanie ludów dla władzy do najwyższego stopnia· on przemienia władcę w ojca — tak, że kiedy ojciec zbłądzi, postępują sobie dzieci jak synowie patryarchy i pokrywają jego błędy płaszczem swego poważania. A jednocześnie Kościół wlewa w serca władców cześć głęboką i tkliwą dla ich ludów; on nakłania ich do tego, że wypełniają w swoich pałacach i otoczeni przepychem królewskim, to słowo ewangeliczne: „Ktobykolwiek między wami chciał większym być, niech będzie sługą waszym" (Mat. 20, 26).

Siła przekonywania, którą Kościół zawdzięcza temu światłu, udzielonemu przez Boga, okazała się niezmierną. Można było wydrzeć mu wszystko: jego dziedzictwo, pomoc władzy świeckiej, wolność wszystkim wspólną; można było wtrącać jego sługi do więzień, zamęczać ich na stosach; ale nie można uwięzić rozumu, spalić faktów, zbezcześcić cnoty, zamordować logiki. Jesteśmy więc silni, Panowie, najpierw przez Ducha Bożego, który w nas przemawia, ale także duchem ludzkim, który, gdy bada spokojnie naszą historyę, nasze dogmaty, naszą etykę, musi przyznać, że niema nic ugruntowanego silniej.

Ale to jeszcze nie wystarczało. Historya oświeca tylko tych, którzy ją badają; myśli przemawiają tylko do tych, którzy mogą je porównywać; cywilizacyę potrafią ocenić tylko ludzie, którzy ją posiadają sami. Kościół potrzebował innego sposobu przekonywania, jeszcze bardziej ludzkiego, to znaczy, działającego

ogólniej: Bóg dał Kościołowi swojemu miłość. Niema serca, do którego Kościół nie mógłby dotrzeć przez miłość; nieszczęście bowiem króluje na ziemi i prędzej czy później każde serce ulega jego berłu. Można opierać się łasce, rozumowi; — ale któż oprze się miłości? Czemuż miałoby się nienawidzieć tych, którzy czynią dobrze? Czemu zabijać tych, którzy oddają swe życie? Odtąd mógł Kościół iść z otuchą na zdobycie świata; bo wszędzie na świecie wylewa się łzy i one są dla nas czemś tak naturalnem, że nawet gdyby nie miały żadnej przyczyny, płynęłyby bez przyczyny, dla samego czaru tego nieokreślonego smutku, którego dusza nasza jest studnią głęboką i tajemniczą. Metafizyka i historya są kolumnami prawdy: ale te kolumny są ukryte w podwalinach świątyni, ogląda się je tylko przy świetle pochodni i z ludźmi wybranymi. Proboszcz wiejski nie wejdzie z zasobem wiedzy naukowej do chaty ubogiego; — wejdzie tam z miłością. Znajdzie duszę cierpiącą i dlatego otwartą. A ubogi, widząc kapłana, który przychodzi do niego z poszanowaniem dla jego nędzy i współczuciem dla jego boleści, łatwo rozpozna prawdę pod szatą miłości.

Kiedy jednak mówię o miłości, nasuwa mi się pewna wątpliwość: O mój Boże! czy jest w nas taka miłość, jaka być powinna? Czy są między wami, którzy jesteście młodzi, dusze pełne ognia i czułości dla Boga i dla ubogich? Czy nie widzicie, że wokoło was wzmaga się boleść, wypełnia się miara i świat już wisi nad straszliwą przepaścią? O Boże mój, daj nam Świętych! Nie widzieliśmy ich od tak dawnego czasu. Niegdyś mieliśmy ich tak wielu! Spraw, żeby jeden powstał z ich popiołów: „Exoriare aliquis ex ossibus“!

Ponieważ więc Kościół, Panowie, tak jest zbrojny rozumem i miłością, najwyższym rozumem i najsilniejszą miłością, cóż można zdziałać przeciwko niemu? Można mu tylko albo zostawić wolność, albo mu użyczać opieki albo go prześladować.

Jeżeli mu zostawi się wolność, rozwinie on wszystkie siły swoje i będzie pozyskiwał jedną duszę po drugiej; rozszerzy się tak, że zdumieni książęta ziemi będą spoglądali na siebie, mówiąc: „Cóż to za potęga, co napełnia wszystko, nasze miasta i wsie, nasze place publiczne i chce nas pozostawić samotnych w naszych pałacach“? I książęta wybierają jeden z tych dwóch sposobów: użyczają Kościołowi opieki albo go prześladują.

Jeżeli Kościół zażywa opieki jak za czasów Konstantyna, jest to potęga, złączona z drugą potęgą; płaszcz cesarski, osłaniający Kościół, nie może go hańbić, a może mu być pożytecznym.

Jeżeli zaś przeciwnie doznaje on prześladowania, wtenczas dopiero piękne dla niego nastają chwile! To chwile, które Bóg

dopuścił w czasie Męczenników i później nieraz, kiedy Kościół popadał w senną martwotę. Czy wiecie, co powiedział na łożu śmiertelnem założyciel ostatniego wielkiego zakonu religijnego, św. Ignacy, do swoich uczniów strapionych, którzy go pytali: „Ojcze, czy nam niczego nie życzysz?“ — „Dzieci moje“ odrzekł „życzę wam prześladowań“. — Prześladowanie! Oto nasza kolebka. Ja sam wyszedłem z krwi, aby do was przemawiać. Gdzieżbym był, gdyby nas był wiek 18-ty do końca pozostawił w spokoju? Ale prześladowanie przyszło i teraz, gdy nas szukają, my żyjemy, oto jesteśmy!

Wolny, protegowany, prześladowany, — Kościół nie traci nic pod żadnym z tych rządów; wszystkie dają mu życie, potęgę i chwałę. Dzisiaj na całej ziemi Kościół jest pozbawiony swego dziedzictwa, którego nabył w ciągu wieków swojemi cnotami; władza świecka usunęła się od niego; nowa potęga, — potęga prasy sprzysięgła się na jego zgubę: ale oto wśród zmiany powszechnej Kościół zawsze jeszcze uczy i przekonywa, a nieprzyjaciele jego zdumieni, nie mogąc pojąć jego żywotności, zabawiają się przepowiadaniem mu śmierci. Podobny do kurzu, który, przelatując obsypuje wędrowca, wiek ten zrujnowany lży wieczność Kościoła, a nie spostrzega, że sama tegoż niewzruszoność jest dowodem jego siły. Wzniesiony wśród świata przez przekonywanie, trwające 18 wieków, na podwalinie starożytnej 40 wiekowej, Kościół katolicki jest niezwyciężony, bo to samo, co mógł zdziałać wszędzie, potrafi spełniać zawsze. To, co jest powszechne, jest wieczne, bo powszechnem może być w ludzkości tylko to, co jest w związku koniecznym z naturą ludzką, a ponieważ natura ludzka nie zmienia się, więc i to nie ulega zmianom, co jest z nią w związku koniecznym. Gdyby przekonanie, tak rozszerzone i tak długo trwające, jak to, które zawdzięczamy Kościołowi, mogło zaginąć w duchu ludzkim, byłby to koniec i rozumu ludzkiego. Cóżby było rzeczywistością, gdyby taka rzeczywistość była tylko złudzeniem? Przeciwnicy Kościoła najnowsi, dzisiejsi, utrzymują, że rozum ludzki jest to ciągły postęp, gdzie każda myśl nowa zabija dawniejszą, gdzie niema nic stałego i bezwzględnego, gdzie wszystko musi ginąć, z wyjątkiem tej niepojętej władzy, która daje życie na chwilę temu, co niebawem umiera. Przez to wyznają oni nicość swoich nadziei i nicość rozumu, który tylko przesuwa się przez groby, pozostawiając w nich trochę popiołu. Ale, jak powiedział Bossuet, „ten dział nikczemny nie jest im zapewniony“; nigdy rodzaj ludzki nie zgodzi się na takie zwątpienie — on, który tyle się spodziewał! Nigdy nie zatraci się w nim siła przekonywania, a Kościół jest właśnie tą siłą, podniesioną do najwyższego stopnia, jest królestwem siły przekonywania.

O Panowie! jeżeli jest coś pięknego i świętego na ziemi, jest to ten ustrój Boski, który wam opisałem. Cóż obok niego stawiają ludzie? Oni tworzą przez użycie siły państwa, które też siła obala. Cyrus burzy dzieło Ninusa, Alexander dzieło Cyrusa, Rzymianie dzieło Alexandra. Siła prędzej czy później zderza się z siłą; siła przekonywania odosobniona, spotyka się także z innemi tego rodzaju: ale kiedy siła przekonywania zwyciężyła świat, nie schlebiając jego namiętnościom, lecz głosząc potrzebę ofiary, wtedy dokonane jest dzieło Boskie i nieśmiertelne. A jeżeli to byli rybacy, którzy to zrobili, jeżeli kilku Galilejczyków założyło to wielkie królestwo siły przekonywania, pomimo oporu wrogich sił fizycznych, wtedy mamy przed sobą dzieło Boskie i nieśmiertelne, wznoszące się po nad wszystko, co jest stworzone. I oto ja, sługa tego dzieła, jeden z Galilejczyków, mówię do was, dzieci tego świata: Dokądże będziecie trudzili się nad tem, co przemija, a walczyli z tem, co trwa? Dokądże będziecie przenosili siłę fizyczną nad siłę przekonywania, materyę po nad ducha? Mówicie ciągle: Nie trzeba Kościołowi pozostawiać swobody, bo stałby się zanadto potężnym, — to znaczy, trzeba przytłumiać siłę przekonywania, bo ona by i nas ujarzmiła wbrew naszej woli! Co moglibyście powiedzieć, coby lepiej poświadczyło Boskość Kościoła? Zrozumiejcie nareszcie, czem on jest, z tego, co głosi nienawiść jego wrogów; niech was przekona cudowny jego ustrój i jego historya, że jego założenie i trwanie nie są dziełami możliwemi dla człowieka; zrozumiejcie, że wszystko, co dobrego dzieje się na świecie, pochodzi od niego wprost lub pośrednio i zapragnijcie stać się jego synami, jego Apostołami i przyłączyć się do dobroczyńców rodzaju ludzkiego! Jest czas po temu; wszystko jest zburzone i wszystko trzeba odbudować na nowo: a sam tylko Kościół katolicki może założyć podwaliny gmachu niewzruszonego, bo tylko on posiada wszelki rozum i wszelką miłość, a człowiek jest zbyt wielki, żeby go mogło ocalić coś innego oprócz najwyższego rozumu i najsilniejszej miłości.

Egzorta na niedzielę XVIII. po świątkach — o spowiedzi.

TREŚĆ: 1. Czem jest spowiedź dla człowieka?
2. Czem się tłumaczy niechęć do spowiedzi?
3. Czem się tłumaczy pozorna bezskuteczność spowiedzi?

Przechodzą nieraz po ziemi burze i orkany, od których zda się ziemia drży w posadach. W górze kłębią się chmury czarne, ciężkie, jakiś świst i jęk, jakieś głosy ponure, chro-

powate, błysk ognia, łoskot piorunów. Człowiek z drżeniem podnosi oczy w górę, na widok obrazu, pełnego przerażenia i grozy, ogarnia go jakiś lęk wewnętrzny i niemoc wobec wszechwładnego żywiołu. Walą się z trzaskiem stare drzewa, lecą z wichrem gałęzie i liście i ptactwo nieopatrzne, chwieją się mieszkania ludzkie, nie zatrzymane żadną siłą ludzką masy wód rwą wszystko i unoszą ze sobą. Jak okiem sięgnąć, jedno morze spienione, brudne. Kto raz patrzał na powódź i jej zniszczenie, temu się wrażenia wówczas doznane nigdy nie zatrą. Kiedy wszystko przeszło, gdy ziemia odetchnęła a za nią ludzie, gdy z wysoka słońce wyjrzało ciekawie na ruiny, wysypało się mrowie ludzkie z chat popatrzeć, zapłakać, ręce załamać. Lecz nie trwało to długo. I znowu zawarczały łopaty w żylastych dłoniach, znów się zaiskrzyła blacha pługa, szlifowana ziemią, znów pot uperlił czoła. Przyszło zapomnienie a za niem radość i wesele i piosnka niefrasobliwa popłynęła po zagonach.

Gdybym zajrzeć mógł w głębie ludzkich dusz, w ten świat drugi, wewnętrzny, świat ducha, ilużbym scen był świadkiem, które przypominają swym przebiegiem owe burze i orkany i powodzie na ziemi! Gdzie namiętności, jak wichry szalone, ślepe, niewstrzymane, łamią i rzucają sercem ludzkiem, gdzie dusza drży i jęczy od grzechów i wyrzutów sumienia, jak od razów śmiertelnych, gdzie cała powódź niecnoty i brudu moralnego zalewa szlachetność, burzy cnotę, nawet fundamenta wiary podmywa. Przerażenieby nas ogarnęło na widok tej tragedyi duszy ludzkiej. Kiedyż się ta biedna dusza uspokoi? Taki mimowolny wydarłby się nam okrzyk ze serca. Kiedyż zejdzie słońce, jako zwiastun pogody i światła, kiedyż na nowo odżyje i odrodzi się rola tej duszy, kiedyż na nowo zacznie się prawidłowa i zbożna jej praca, że się rozraduje w swej piękności jasnej, Bożej? Oto, kiedy serce człowieka, znękane złością grzechu, zawoła: Ojcze niebieski, zgrzeszyłem przeciwko Tobie, i gdy na to wołanie człowieka odpowie Bóg: Ufaj, synu, odpuszczają ci się grzechy twoje. Przypomnijcie sobie stan waszych dusz po dobrze odprawionej spowiedzi, odbytej ze serdecznym żalem i silnem postanowieniem poprawy, kiedyście czuli, jakby ten pot na waszych skroniach i krew paląca na twarzy obmyły was i wypaliły rany jątrzące, kiedyście z dziwnym, błogim spokojem, jakby po długiej niewoli, odetchnęli zdrową i wolną piersią z uczuciem ulgi, jaką daje wiara i miłość Boga, brali z rąk kapłana ciało Pańskie.

Lecz może w zapomnienie poszła ta chwila święta i zima obsiadła zakątki duszy, grzech stał się jadłem i napojem co-

dziennym i znowu gruzy i spustoszenie, znowu męka i niepokój. Niema bowiem pokoju i radości pełnej dla człowieka, obarczonego grzechem tak długo, póki od grzechu się nie wyzwoli. Któżby zaś takim wrogiem własnym był, któryby wolał raczej ciemność niż światło, raczej męczarnie niż pokój, raczej odrażające serce niż płonące zdrowiem, Bogiem wypełnione, w Bogu rozradowane? Kto się odwróci od spowiedzi i twierdzić będzie, że czyni to w imię światła, wolności, radości? Jeśli czego świat zazdrości Kościołowi, jeśli co w nim podziwia, uważając go za zdolnego do przerobienia duszy ludzkiej, do odnowienia świata, to chyba spowiedź ma na myśli. Niema rozumnego człowieka, któryby przeciw spowiedzi miał jaki zarzut usprawiedliwiony. Żaden filozof, ani poeta, ani retor, ani oni wszyscy razem, ilu ich było, nie dokonali tego, czego dokazać może jedna spowiedź: ona zdoła przemienić grzesznika w przybranego syna Bożego, zbrodniarza w świętego, pysznego w pokornego, dyszącego zemstą w miłującego wroga.

Ktoby przeciw spowiedzi występował i ośmieszał ją, tenby tem samem występował przeciw naprawie życia, tenby ośmieszał postęp ducha i jego doskonalenie, tenby Boga do duszy człowieka nie chciał dopuścić, tenby był walnym obrońcą zacofania i ciemnoty. Cóż bowiem naturalniejszego nad to zdanie: kiedyś brudny, obmyj się? Czy do tego trzeba jeszcze więcej argumentów, powodów? A on woła: nie myj się, bo cię to poniża, bo to przesąd, strzeż swej godności, chodź więc w brudzie i błocie! Przeciw spowiedzi występować mógłby zatem chyba nihilista moralny, u którego pojęcia: cnota i występek, morderstwo i bohaterstwo, zdrada i wierność są jednoznaczne. Nie jarzmem spowiedź, ale skrzydłami, nie niewolą, ale wyzwoleniem, nie poniżeniem, ale przywróceniem godności człowiekowi. Nie myślę bronić, udawadniać wielkości i mocy tego Sakramentu Boskiego, bo on sam za siebie mówi. Wspomniałem tylko o tem, byście wy młodzi, którzy z natury swego wieku raczej jeszcze uczuciem i powierzchownie patrzycie na rzeczy, niż głębszą refleksyą, wiedzieli, co sądzić, jeśli usłyszycie zarzuty przeciw spowiedzi.

Dlaczego jednak wielu latami całemi stroni od spowiedzi lub nawet wcale się nie spowiada? Dlaczego wielu doprowadziło do tego, że nie odczuwają potrzeby spowiedzi, owszem z niej sobie pokpiwają, dowcipkują? Słyszałem ludzi już starszych wiekiem, którzy z pewną chełpliwością opowiadali drugim, że ostatni raz byli do spowiedzi przed maturą. I wy może znacie takich ludzi i wyście pewnie nieraz to samo słyszeli i was nieraz to może zmroziło i osłabiło w wierze. Patrząc na was mło-

dych o żywej wyobraźni, o podatnej duszy, wchłaniającej wszystko i przejmującej się wszystkiem, truchleję, gdy mi stanie przed oczyma dzisiejszy świat, gdy sobie wspomnę, jakie to czasem niegodziwe ręce piszą na waszem sercu, jaka przewrotność nieraz was zatruwa niewinnych i bezbronnych, jak wam rabują największe skarby duszy a wy o tem nie wiecie! Z uśmiechem sami je wydajecie w mniemaniu, że się pozbywacie zbytecznego ciężaru. Przyjmijcie jedną radę od przyjacielskiego serca i zachowajcie ją na całe życie. Jeśli was kto będzie zachęcał do złego a odwodził od dobrego czy prośbą czy groźbą, mędrkowaniem czy szyderstwem, powagą swego nazwiska czy urzędu, czy jakimkolwiek sposobem, nie słuchajcie i nie wierzcie, że on chce waszego dobra. To wasz wróg, choćby to był wasz ojciec czy matka. Powiedźcie za Chrystusem: idź precz szatanie! Jednemu Bogu kłaniać się będę i Jemu jednemu służyć będę. A kto was będzie namawiał do dobrego, a od złego odwodził, ten wasz przyjaciel. Idźcie za nim, choćby się wam wydawał waszym wrogiem. Czy dlatego, że wielu lekceważy sobie spowiedź, nie spowiada się, szydzi z niej, dlatego ona przestaje być dobrą? Czy dlatego nauka jest złą, że wielu nieoświeconych i nieuświadomionych natrząsa się z pracy i trudów umysłowych? Kto od spowiedzi stroni, ten albo nie ma wiary katolickiej, albo też, choć wierzy, życie niemoralne prowadzi i nie chce go zmienić. Niepodobieństwem bowiem jest, by katolik wierzący i żyjący moralnie gardził spowiedzią. Dlatego spowiedź jest probierzem moralności i wiary człowieka, probierzem moralności i wiary społeczeństwa. Mało wierzące jest społeczeństwo albo też mało moralne, które się nie spowiada. Ponieważ zaś ludzie ani z jednem ani z drugiem nie chcą się zdradzić, chcieliby i za katolików uchodzić i za moralnych a spowiedź a raczej jej zaniedbanie wydaje ich, więc nie lubią o spowiedzi mówić a kiedy mówią, to z przekąsem, jako o jakimś małoznaczącym obrzędzie, formie religijnej niekoniecznie potrzebnej każdemu wierzącemu. Ukochajcie spowiedź tem bardziej, im częściej słyszycie słowa o niej pogardliwe, im więcej znacie takich, co od niej uciekają. Bo to znak, że coraz więcej zanika wiara w sercach a wyrasta niemoralność, bo to znak, że coraz więcej ubywa nam największego i najświętszego skarbu, jaki jest w naszym narodzie, bo to znak, że się stajemy narodem chrześcijańskim bez chrześcijańskiego życia. Jeśli są tacy, którzy namawiają pod sztandar szatana, wy zwołujcie pod chorągiew Jezusa! Śmieją się ze spowiedzi, wy ją miejcie za świętość Boską, za skarb, Jezusową krwią nam wysłużony. Odwodzą od spowiedzi, wy nie tylko sami się spowiadajcie, ale drugich do-

niej prowadźcie. W zeszłorocznej anonimowej waszej ankiecie na temat: com wyniósł z rekolekcyi, jeden z waszych kolegów z 8-mej klasy między innemi tak napisał: „Udało mi się prośbami i przedstawieniami nakłonić jednego mego kolegę eksternistę, o którym wiedziałem, że się długo już nie spowiadał, że poszedł razem ze mną do spowiedzi. Gdyśmy wyszli z kościoła na ulicę — i on dziękował mi za to, żem go namówił do spowiedzi, i ja uścisnąłem jego rękę i również mu dziękowałem z taką jakąś dziwną radością i niewytłumaczonem uczuciem, że sobie dotąd nie mogę zdać z tego sprawy“. Nie zdawał sobie sprawy, bo może pierwszy raz świadomie pracował dla Chrystusa jako Jego apostoł, więc jeszcze nie doświadczył, jaką radość daje Bóg tym, którzy dla Niego się trudzą z miłości ku Niemu.

Ale może zniechęca się który z was do spowiedzi tem, że po niej powraca do tych samych grzechów i mówi sobie: po co się mam spowiadać i przyrzekać poprawę, kiedy wiem, że obietnicy nie dotrzymam? I ci, którzy się spowiadają, niekoniecznie lepsi odemnie. Człowiek, grzechu śmiertelnego winien wobec Boga, jest jako ten, który leży złożony śmiertelną chorobą. Kiedy uda się lekarzowi szczęśliwie rozpoznać chorobę i usunąć ją, wówczas chory, przychodząc do zdrowia, długi czas jeszcze słucha wskazówek lekarza, ostrożny jest w każdym ruchu, w jadle i napoju, najmniejsza bowiem nieuwaga może go przyprawić ponownie o tę samą chorobę, z której już trudniej drugi raz się wyleczyć. Przez kapłana Chrystus - lekarz usuwa chorobę śmiertelną duszy słowami: „ja cię uwalniam od grzechów twoich“. Człowiek otrzymuje życie i zdrowie duszy: łaskę poświęcającą, jednak, jak u owego rekonwalescenta, potrzeba ogromnej czujności i ostrożności, by to zdrowie utrzymać, utrwalić, powiększyć. Rzuci się człowiek po spowiedzi na dawną drogę życia, narazi na te same okazye, zmysły swoje rozpuści swobodnie, by gospodarowały jak przedtem, zacznie karmić swą duszę dawnym omłotem, wtedy nie tylko że uzyskanego na nowo życia i zdrowia duszy nie utrzyma, ale tem straszniejszy będzie jego upadek, tem cięższa choroba, tem trudniejsze powstanie. Czy spowiedź winna, jeśli człowiek znów ciężkim grzechem obraził P. Boga? Nie odnosisz korzyści ze spowiedzi, to znaczy, że nie podejmujesz trudu po spowiedzi, by się poprawić, a upadłszy ponownie, nie starasz się, by jak najprędzej znowu grzechu się pozbyć. Spowiedź to dopiero narodziny życia Bożego w sercu człowieka, to dopiero wyposażenie duszy w dary Boskie, to dopiero podstawa, przez Boga położona, na której człowiek może godnie się trudzić dla chwały

Bożej i dla zbawienia swej duszy. Zresztą to każdy rozumie i świadomy jest swej winy, dlatego też chciałby na spowiedź odpowiedzialność złożyć.

O jakżeż marnym i nikczemnym wobec Boga okazuje się ten, który wymawia swą złość, przekomarzać się chce i sądzić dzieła Boga Wszechmogącego! Nie bądźcie chrześcijanami z konieczności, ale z dobrej woli (Hier. ep. ad Lact.). Nie chciejcie się targować z Bogiem, ani wymówkami okazywać wzgardy Jego Sakramentom św., by wami Bóg nie wzgardził i nie odwrócił się od was! Pomnijcie na słowa Chrystusa: „Ktoby mówił przeciw Duchowi św., nie będzie mu odpuszczone ani w tym wieku ani w przyszłym“ (Mat. 12, 32). Kiedy spowiedź żartem w ustach bezbożnika, z waszych serc niech płynie gorąca modlitwa dziękczynna do Boga za ten wielki cud Jego miłosierdzia, chciwie czerpcie z tego zdroju Boskiego, bo to skarby niebieskie, bo to moc nasza i wielkość, to drzewo żywota dzieci Bożych. Godnem odprawianiem spowiedzi zamykajcie usta szydercom, a coraz lepszem i cnotliwszem życiem Bogu chwałę głoście a sobie skarbcie szczęście wiekuiste! *Amen.*

X. P. Nowak.

O podręcznikach do nauki historyi Kościoła katolickiego.

Czytając podręczniki do nauki historyi Kościoła katolickiego, używane w naszych szkołach wydziałowych i średnich, zauważyłem w nich pewne różnice tak co do podziału, jako też w przedstawieniu niektórych faktów historycznych, a wreszcie tu i ówdzie niejasny sposób wyrażenia się, o co właściwie chodzi. Poruszam te kwestye dlatego, że byłoby rzeczą pożądaną, by w nowych wydaniach historyi kościelnej szan. Autorowie więcej się zgadzali, a braki uzupełnili, co bez wątpienia wyjdzie na korzyść nauki religii. I tak

I. co do podziału.

X. Józef Boczar podzielił historyę kościelną (Lwów 1906) na sześć okresów, X. Gadowski zaś (wydanie drugie) i X. Dr. Jougan (Lwów 1899) na 8 okresów. Jednak i ci dwaj Autorowie nie zgadzają się co do V. i VI. okresu. X. Gadowski bowiem V. okres liczy od końca wypraw krzyżowych do t. zw. reformacyi religijnej (1270—1517), a VI. okres od reformacyi do zawarcia pokoju westfalskiego (1517—1648); X. Dr. Jougan zaś V. okres od papieża Bonifacego VIII. do soboru florenckiego włą-

cznie (1294—1439), a VI. okres od rozkrzewienia się humanizmu do końca wojny trzydziestoletniej (ok. r. 1450—1648). Ponieważ historyę dzielimy na okresy według ważniejszych wydarzeń, dlatego autorowie historyi, nie zgadzający się pomiędzy sobą co do okresów, nie zgadzają się też w sądzie o ważniejszych wydarzeniach. Jednostajność byłaby więc i tu pożądana. Nadto X. Jougan IV. okres datuje od r. 1073—1270, V. okres od r. 1294—1439, a VI. od 1450—1648; ma tu więc i historya swoje wakacye i to razem 35 lat!

II. Co do faktów historycznych.

1. X. Dr. Jougan (str. 26) pisze, że Julian Apostata był bratankiem Konstantyna; X. Gadowski zaś (str. 33), że tenże Julian był bratankiem Konstancyusza.

Dokładniej pisze o tem kardynał Hergenröther[1]), a mianowicie, że Juliusz Apostata był synem Juliusza Konstancyusza, brata Konstantyna W., a więc bratankiem tegoż monarchy, a stryjecznym bratem cesarza Konstancyusza, trzeciego syna Konstantyna W.

2. Według X. Jougana (str. 29) św. Grzegorz z Nazyanzu został obrany biskupem konstantynopolitańskim na II. soborze powszechnym (381); według X. Gadowskiego zaś (str. 37) tenże Ojciec Kościoła został patryarchą w Konstantynopolu w r. 379, a więc dwa lata przed II. soborem powszechnym. X. Antoni Wappler[2]) pisze, że św. Grzegorza z Naz. lud obwołał biskupem konst., gdy jednak wielu biskupów przyganiało temu sposobowi wyboru, zrzekł się dobrowolnie godności i udał się znowu na ukochaną pustynię; X. Władysław Krynicki[3]) zaś utrzymuje, że św. Grzegorza Naz. zamianował biskupem cesarz Teodozyusz W., św. biskup jednak z powodu niechęci do siebie wielu uczestników soboru, zrezygnował z nominacyi.

Najprawdopodobniejszem wydaje mi się zdanie X. Gerarda Rauschena[4]), że św. Grzegorz z Naz. objął katedrę biskupią w Konstantynopolu w r. 381 na żądanie cesarza i drugiego powszechnego soboru. Tegoż zdania jest Otto Bardenhewer, „Patro-

---

[1]) Historya powszechna Kościoła katol. — Warszawa 1901, tom II. str. 103.

[2]) Historya Kościoła katol. przeł. X. Wł. Jakubowicz. — Warszawa 1884, str. 56.

[3]) Dzieje Kościoła powszechnego. Włocławek 1908, str. 104.

[4]) Zarys Patrologii, tłum. X. Jan Gajkowski. — Warszawa 1904, str. 109.

logie". Freiburg im Br. 1901, str. 251. Datę więc nominacyi św. Grzegorza Naz. patryarchą konstantynopolitańskim należałoby poprawić w nowem wydaniu historyi Kościoła X. Gadowskiego.

Co do twierdzenia zaś X. Wapplera, że św. Grzegorza Naz. „lud obwołał biskupem", nadmienić należy, że jakkolwiek od czasów apostolskich aż do IX. wieku lud brał pewien udział przy wyborach biskupów, to jednak udział ten ograniczony był „ad postulationem et testimonium ferendum de eligendorum meritis"; nigdy zaś lud nie miał prawa wyboru biskupa, jak to gruntownie wykazuje kard. Tarquini w swych Institutiones Juris eccl. publici. — Romae 1892, pag. 106—116. „Neque enim — mówi tenże autor na str. 107 — qui bonum testimonium pro aliquo reddit, vel eumdem eligi petit, ius aliquod ad dignitatem obtinendam eidem parit". Rozumiał to dobrze św. biskup i dlatego — nie „z r z e k ł s i ę", ale raczej nie przyjął w ten sposób ofiarowanej sobie godności.

3. X. Jougan (str. 45) pisze, że papież Stefan III. sam koronował króla Franków Pepina; podobnie X. Krynicki (str. 186); X. Gadowski zaś (str. 54) utrzymuje, że Stolica Apostolska poleciła św. Bonifacemu dokonać tej koronacyi.

Tu znowu za X. Jouganem a przeciw X. Gadowskiemu przemawia powaga kard. Hergenröthera, który w tomie IV. str. 107 pisze, iż papież Stefan sam udał się do Paryża, gdzie zamieszkał w klasztorze św. Dyonizyusza i tam namaścił Pepina na króla Franków.

4. X. Gadowski na str. 89 pisze, że Innocenty IV. zwołał w r. 1245 do Londynu (zamiast do Lyonu) XIII. sobór powszechny, a błędu tego pomiędzy omyłkami nie umieścił.

5. X. Dr. Jougan (str. 68) pisze, że na soborze lateraneńskim III. 1179 r. postanowiono, że papieża mają wybierać t y l k o k a r d y n a ł o w i e; według X. Krynickiego zaś (str. 241) takie postanowienie wydano jeszcze na soborze lateraneńskim II. w r. 1139; przeto sobór lateraneński III. raczej przypomniał dawne prawo, a nadto dodał nowe (o czem i X. Jougan wspomina), mianowicie, że do ważności wyboru papieża potrzeba dwóch trzecich części głosów kardynałów przy wyborze obecnych.

6. X. Jougan (str. 60) i X. Boczar (str. 57) piszą, że Hildebrand, późniejszy papież św. Grzegorz VII., jako młodzieniec wstąpił do zakonu kluniackiego Benedyktynów; X. Gadowski zaś (str. 74) utrzymuje, że św. Grzegorz VII. wykształcił się w Rzymie i tam wstąpił do zakonu Benedyktynów, a tylko jakiś czas przebywał w Clugny. Z X. Gadowskim zgadza się Brockhaus[1]),

---

[1]) Konversations-Lexikon. Leipzig 1902, tom VIII. str. 232.

pisze bowiem, że Hildebrand wstąpił do zakonu Benedyktynów w Rzymie, a w r. 1048 pojechał do Clugny, jednak już w następnym roku papież Leon IX. powołał go znowu do Rzymu.

7. X. Boczar (str. 64) o szóstej wyprawie krzyżowej pisze, że Turcy już po dziesięciu latach zajęli ponownie Jerozolimę. X. Gadowski zaś (str. 88), że Fryderyk II. zawarł z sułtanem egipskim w r. 1229 dziesięcioletni rozejm, w którym chrześcijanom oddano Jerozolimę, lecz w r. 1244 Turcy znowu zajęli to miasto, aby go już nigdy nie opuścić. Zatem nie po dziesięciu, lecz po 15 latach Turcy ponownie zajęli Jerozolimę.

8. X. Jougan (str. 88) pisze, iż papieże przebywali w Awinionie od r. 1305 do 1377; X. Gadowski zaś (str. 112), iż od r. 1309 do 1376. Dokładniejszą wiadomość w tej sprawie podaje X. Krynicki (str. 322), a mianowicie, iż Klemens V. przedtem arcybiskup w Bordeaux, nie należał do grona kardynałów; wybrany papieżem w r. 1305, koronował się w Lyonie i pozostał dalej we Francyi; w Awinionie osiadł w r. 1309. Papież Grzegorz XI. wrócił na stały pobyt do Rzymu w r. 1377.

9. X. Jougan (str. 98) pisze, że metropolię kijowską obsadzono znowu schizmatykiem w r. 1510; X. Gadowski zaś (str. 123), iż w r. 1519. X. Krynicki (str. 578) zgadza się tu z X. Gadowskim.

10. O schizmie papieskiej pisze X. Boczar (str. 70), że po śmierci Grzegorza XI. r o z d w o j e n i kardynałowie wybrali dwóch papieży, jednego (Urbana) w Rzymie, drugiego (Klemensa VII.) w Awinionie. X. Jougan zaś (str. 88), że Urban VI. wybrany był j e d n o m y ś l n i e, uznali go z początku nawet biorący udział w wyborze kardynałowie francuscy; lecz wnet dokonali nieprawnego wyboru nowego papieża Klemensa VII., który znowu obrał siedzibę w Awinionie.

Jeszcze dokładniej sprawę tę przedstawia X. Krynicki (str. 326), dodając, iż obrzęd koronacyjny Urbana VI. odbył się 9. kwietnia 1378, a wybór Klemensa VII. dopiero 20. września 1378; a więc kardynałowie francuscy przez kilka miesięcy uznawali jako prawowitego papieża Urbana VI. i dopiero później, gdy ten nie chciał wrócić do Awinionu i surowo karcił ich zbytkowne życie i nieduchowne obyczaje, ogłosili, że elekcya jego była nieważną i wybrali na jego miejsce kardynała Roberta z Genewy, który się nazwał Klemensem VII. i osiadł w Awinionie.

III. Wyrażenia niejasne i niedokładne.

Mam tu na myśli głównie podręcznik X. Dra Jougana, który był przepisany dla moich uczenic w gimnazyum p. Z. Strzałkowskiej. Otóż autor wspomniany pisze:

1. że „Macedoniusz począł głosić błędną naukę o trzeciej Osobie Boskiej"; wcale jednak nie podaje, jaka to była błędna nauka. Czy nie lepiej było napisać: „Macedoniusz nauczał, że Duch św. nie jest Bogiem"? Wszakże i Focyusz głosił błędną naukę o trzeciej Osobie Boskiej, ale inny był błąd Focyusza, a inny Macedoniusza.

2. „Pelagiusz rozszerzał błędną naukę o grzechu pierworodnym i o łasce" (str. 30). Czy znowu nie lepiej było napisać: „Pelagiusz odrzucał grzech pierworodny i potrzebę łaski Bożej"?

3. Na str. 40, n. 57, p. t. „Sztuka chrześcijańska" mówi autor o stylu bazylikowym i bizantyńskim, nie dodaje jednak nic o znamionach tych stylów.

Sądzę też, że kiedy się pisze w podręczniku szkolnym o obrazach mozaikowych (str. 40), lepiej byłoby dodać (jak to uczynił X. Gadowski, str. 52), że są to obrazy, układane mozolnie z różnobarwnych kamieni; freski zaś są to obrazy malowane na świeżym tynku (al fresco). Podobnie należałoby w podręczniku objaśnić, co to były dyptychy, że były to podwójne tablice z wypisanemi na nich imionami papieża, biskupów, książąt i innych osób; odczytywano je podczas Mszy św. i modlono się za wymienionych.

4. Na str. 42 pisze X. Jougan, że Islam posiada źródło pisemne (zamiast pisane) pod nazwą Koranu.

5. Na str. 52, że „Focyusz wystąpił z zarzutami przeciw Kościołowi rzymskiemu", lecz ani jednego z tych zarzutów nie wymienia. Podobnie o Cerularyuszu, że „wznowił dawne zarzuty Focyusza i dodał nowe", ale znowu ani jednego zarzutu w szczególności nie przytacza. A przecież uczniowie 8-mej klasy gimnazyalnej powinni nie tylko wiedzieć, jakie to były zarzuty, ale nawet umieć na nie należycie odpowiedzieć, zwłaszcza w naszych stronach, w których tak często słyszymy o schizmatykach i z nimi się spotykamy.

6. Str. 89, n. 128, X. Jougan podał tytuł: „Błędy Wyklifa", ale jakie to były błędy, o tem ani słowa niema. Wskutek tego niezrozumiały jest ustęp następny o husytyzmie. Autor bowiem pisze tylko tyle, że Hus szerzył błędy Wyklifa w Pradze i do jego błędów dodał wiele nowych, ale znowu ani jednego w szczególności nie podaje.

Może Autor odpowie, że rzeczą jest katechety objaśnić to, co zawiera podręcznik szkolny. — Tak, bez wątpienia. Ale iluż to uczniów bywa nieobecnych na wykładzie, ilu przygotowuje się prywatnie do egzaminów, a przecież i oni powinni rozumieć to, co czytają w podręczniku. Większe więc uwzględnienie zasady „ul veritas pateat", byłoby tu bardzo pożądane.

X. Łyszczarczyk.

Jeszcze słów kilka o nieomylności Biskupów.

Sądziliśmy, że kontrowersya między X. Drem Sieniatyckim i X. Kat. Jeżem rozjaśniła już kwestyę tę dostatecznie. Tymczasem dowiadujemy się, że jeszcze nie wszyscy czcig. Czytelnicy nasi oryentują się należycie w tej sprawie. Dlatego dodajemy jeszcze parę słów dla jej wyświetlenia.

Każdy biskup może się mylić, jeżeli wypowiada tylko zdanie swoje osobiste w kwestyach wiary i obyczajów, mogą błądzić i synody partykularne i nieraz błądziły rzeczywiście. Jeżeli jednak biskupi, chociaż nie zebrani na soborze powszechnym, lecz rozprószeni po całej ziemi, uczą czegoś wszyscy jednomyślnie w rzeczach wiary, nie mogą być w błędzie. Gdyby bowiem nauka ich była kiedykolwiek błędną, przestałaby się spełniać obietnica Chrystusowa, dana Apostołom i ich następcom: „Nauczajcie wszystkie narody... a oto ja jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata“ (Mat. 28, 19—20). Por. Jan 14, 16, 26; — 16, 12; Mat. 18, 17. Gdyby tylko soborom powszechnym i papieżom udzielony był dar nieomylności, pozostałoby nieraz przez całe lata rzeczą wątpliwą, czy ludzkość może wierzyć bez żadnej obawy temu, co jej głosi cały Kościół nauczający, bo przecież nie można zwoływać soborów powszechnych co kilka miesięcy i „Papież też nie może codziennie ex cathedra ogłaszać dogmatów, a tymczasem życie nie stoi w miejscu, ciągle nowe kwestye się wyłaniają, z dogmatem, z moralnością ściśle złączone, w których wierni potrzebują pouczenia. Od kogoż je otrzymają? Od tych oczywiście, którzy z ustanowienia Bożego są bezpośrednimi ich nauczycielami, od swoich biskupów“ (X. Sieniatycki w zesz. kwietniowym „Mieś. Kat. i Wych.“ str. 195).

Zanim zresztą ogłoszono dogmat o nieomylności papieskiej, byliby wierni, którym nasunęły się jakieś wątpliwości w rzeczach wiary, musieli zawsze czekać na orzeczenie soboru powszechnego, gdyby wszyscy biskupi, rozprószeni w różnych częściach ziemi, mogli błądzić w swojem nauczaniu. Ale cały świat chrześcijański wierzył zawsze, że to musi być prawdą, czego uczą wszyscy biskupi jednomyślnie, a uznawał każde twierdzenie, które sprzeciwiało się tej nauce eo ipso za błędne, jak pisze między innymi Origenes („De principiis“ praef. n. 2): „Illa sola credenda est veritas, quae in nullo ab ecclesiastica et apostolica discordat traditione“. Wierzono, że biskupi są następcami Apostołów i że można bezpiecznie kierować się ich zdaniem, jeżeli który z nich nie głosił jakiejś nauki niezgodnej z tradycyą Kościoła. Wiele też herezyi usunęło ze świata jednomyślne nauczanie biskupów,

chociaż żaden sobór powszechny nie potępił tych błędów (por. Hurtera „Theol. dogm. comp.“ wyd. 3-e. Insbruck - Paryż 1880 n. 173, 366, 367, 373, 374).

To też i X. Jeż przyznał słuszność zarzutowi X. Dra Sieniatyckiego i tylko przy tem obstaje, że kwestya ta jest dla dzieci za trudna i dlatego lepiej ją w katechizmie pominąć.

X. P.

Nowe książki.

Kazimierz Chłędowski. **Rokoko we Włoszech. Ludzie — literatura, sztuka.** Druk W. L. Anczyca i spółki w Krakowie. 1915. Stron 582. Cena 22 kor.

Potężnym tomem obdarzył nas znowu autor. Od Sieny, poprzez Dwór Ferrary, Rzym Odrodzenia, Rzym baroku, przyzwyczaił już nas do tego formatu. Czytelnik nabiera wiary do autora, już biorąc książkę do ręki, pewny, że gdy autor tak olbrzymim rozporządza materyałem, znajdzie tam kopalnię wiadomości. Ciekawość czytelnika napięta na różnych strunach: tytuły same przygotowują go na owe przełomy, które wielkiemi liniami znaczą dzieje, Włochy jako temat wiecznie nęcący opanowują jego myśli, miłość autora do tego tematu udziela się nawet nie znającemu Włoch, sposób przedstawienia jest tak właściwy autorowi, iż odbija prawdę zdania, że styl to człowiek. Z innem uczuciem zamyka się książkę, nie opuszcza czytelnika wdzięczność dla autora za to, że przeprowadził go przez czasy, które przyświecały ludzkości nowością idei i ideałów, ale do tej wdzięczności przyłącza się uczucie jakiegoś zawodu, że ten blask taki zmatowany, przyćmiony. Bliższe rozglądnięcie się w tych przejawach kieruje wzrok na stanowisko, z którego autor patrzy na wypadki, ujęte w ramy jego opowiadań. Czuje się jakieś okienko, a choćby i wygodną loggię, otwierającą cię na pewien wycinek życia z natężeniem barwy społeczno - towarzyskiej. Zdolność chwytania tego życia jest siłą autora. Ale przy tak nastawionem oku i pewna słabość. Już samo pole obserwacyjne jest pewnem zacieśnieniem. W życiu towarzyskiem bezwątpienia odbijają się panujące w danej epoce prądy, jednak to strefa, jakby pas filmowy z różnorodnością wymieniających się obrazów, dająca rzadko pole do perspektywicznych pogłębień. O rzeczach wielkich słyszy się tam tylko z daleka — na główny plan wychodzą obiegające ciekawości i ciekawostki. Te ostatnie są zazwyczaj pokarmem, którym się człowiek chciwie nasyca, ale i prędko przesyca. Św. Augustyn mawiał, że ile razy wracał z towarzystwa, czuł się mniej-

szym człowiekiem. Anegdotyczno-plotkarski element zabarwia i historyę. Autor z wielką zręcznością trzyma opowiadanie na poziomie zajmującej pogawędki, nie rzadko z przymieszką „on dit“, zwłaszcza gdy na ekran rzucić można coś z życia duchowieństwa, wszelkiej kategoryi i stopni. Ta pointa nie chybia poklasku pewnych kół. Na tę mniej więcej modłę są zbudowane wszystkie dzieła autora. — Ostatnie więcej od innych zawierać mogło podatnego materyału. Rococo — to wiek peruk, robronów, miłostek, hazardów, szarlataneryi, wywrotów społecznych, deptania autorytetu i tradycyi. W „prądach przewodnich“ na czele znajdujemy charakterystykę epoki. Illustrują ją w następnych rozdziałach, jak podtytuł kartki okładkowej zapowiada, ludzie, literatura, sztuka. Wytyczne linie tworzy literatura. Nazwiska Metastasia i Foscola zakreślają granice epoki. Nie mniej wydatnie od tych pisarzy występują Goldoni, Gozzi, Alfieri. W galeryi innych ludzi zwykłą u autora rolę odgrywa duchowieństwo. Papieże, jak w poprzednich tomach, to władcy świeccy, pogrążeni w myślach ziemskich, a nawet, jak na dobę haseł wolnościowych wypada, despoci i tyrani. Traktuje się ich per „papa Lambertini, Rozzonico, Ganganelli, Braschi“. Rząd ich opierał swą władzę na tem, że kształcił społeczeństwo nie na tem, co pożyteczne, ale uczył tego, co hamowało postęp kultury (str. 365). Prawda — papieże pomnażali biblioteki, skupywali dzieła sztuki, podejmowali wykopaliska, zakładali muzea, ale kollekcyonerstwo było modą. Kollekcyonerami byli i kardynałowie, ale kardynał Braschi-Onesti, „niezdolny do jakiejkolwiek pożytecznej pracy“, zrobił się archeologiem. Znawcą był kardynał Albani, ale obok zamiłowania do antyków miał równie kosztowną słabość do — pięknych kobiet (str. 357). To zestawienie mówi samo za siebie. Po cóż mnożyć przykłady? Niższe duchowieństwo każe nam autor oglądać nawet w roli cicisbeów. Są tam i wyraźniejsze pokłony w stronę brzasków wolnomyślnych. Kard. Passionei uznany nawet człowiekiem o szerszym umyśle — nie lubił Jezuitów i cieszył się sympatyą Woltera. — W sądach o sztuce, po za teatrem, którym autor chętnie się zajmuje, znać amatora, który lubi sztukę i ma w tych rzeczach upodobanie własne. W swoim czasie sieneńskie malarstwo postawił przed florenckiem, co wywołało zdziwienie. W „Rzymie“ stara się obniżyć Rafaela, a i w tym tomie mówi o jego „zmanierowanych Madonnach“. Z zastrzeżeniem mówił o Berninim, a tu chłodno mówi o Batonim. Sztuce starożytnej jest niechętny, dlatego cały kierunek neoklasyczny, który przyszło mu w tym tomie omawiać, traktuje więcej niż zimno. Winckelmann miał spaczyć talent Angeliki Kaufmann, więcej jeszcze stracił Rafael Mengs. Cało wyszedł Canova, choć także spotyka go przygana,

że zapatrzył się na starożytnych, a Thorwaldsen zupełnie zepchnięty w cień. Historya kultury dotąd wydała inny sąd o walorach artystycznych, które się wiążą z wpływem sztuki starożytnej, ale przyznać trzeba, że dziś jest modą, iść trochę na przekór uznanym wartościom. Nie przeczuwał tej mody Goethe, który był dla nich z uwielbieniem i dla tem większego rozkoszowania się w ich pięknie, przybrał podczas swej podróży incognito, a nie dlatego, aby stronić od Arkadyjczyków — owszem był zadowolony, kiedy przyjęto go na członka Akademii i szeroko opisuje wystawiony mu dyplom. — Typy awanturnicze reprezentują Casanova i Cagliostro, bohaterowie przygód, jakich widownią mógł być tylko wiek 18. — Po za ramy czasu wychodzi postać Byrona, ale temat to literacko zbyt nęcący, iżby go można było pominąć, zwłaszcza że życie Byrona tej właśnie palecie autorskiej samo narzucało się. Ze względu na swą bogatą treść książka obudzi różnoraki interes, tem dla nas bliższy, że gdzie tylko wątek opowiadania pozwala, autor zahacza i o rzeczy polskie. Dodawać nie trzeba, że język piękny i szata wytworna zalecać ją będą oku i zaciekawieniu. **Dr. Wincenty Śmiałek.**

X. Feliks Dupanloup. **Listy o wychowaniu dziewcząt.** Przełożyła z francuskiego J. Kusztelanówna. Poznań 1914. Księgarnia św. Wojciecha. Stron 383. Cena 3·60 m. Opr. 4·50 m.

Tytuł książki i imię autora zapowiada, że dzieło to zdoła nas zainteresować przedmiotem i sposobem ujęcia kwestyi, mającej pierwszorzędne znaczenie. Ale w czasach dzisiejszych takie postawienie kwestyi, jak ją autor ujął, można nazwać przestarzałem, bo dziś nikt się nad tem nie zastanawia, czy wogóle kobieta ma być dopuszczona do nauki. Przytem sposób przedstawienia rzeczy jest zbyt rozwlekły i przez to nużący, zbyt wiele także znajdujemy tu długich cytatów. Jednakowoż warto tę książkę i dziś jeszcze przeczytać. Sławny biskup pedagog rozważa wiele zagadnień, które trzeba uwzględnić w wychowaniu dziewcząt: mówi np. o książkach do czytania dla nich stosownych, o hygienie, o rekreacyach, o nauce szycia i gospodarstwa, o zaprawianiu do pobożności itd. Bardzo godny uwagi jest np. ustęp na str. 344 n. „Słyszy się słuszne skargi, że znaczna liczba kobiet, wychowanych w klasztorze, nie chodzi ani na sumę, ani na nieszpory, ani na zwykłe kazania w parafii — słuchają tylko mszy cichej, najczęściej w osobnem oratoryum, chętniej komunikują w kaplicach klasztornych, aniżeli w parafiach, z obawy przed tłumem i zbyt blizkiem zetknięciem się z osobami z niższych sfer towarzyskich“. Dalej ubolewa

nad tem, że „kobietom chrześcijańskim naszego wieku braknie zrozumienia ducha liturgii“ itd.

Przekład polski jest poprawny i czyta się gładko; jednak tu i ówdzie zakradły się pewne usterki: tat np. czytamy na str. VIII, że biskup Dupanloup napisał „jak najsurowszą metodą potrójny katechizm“. Na str. 344: „Wizytki... więcej są w prawdzie i dobrej regule, aniżeli inne zakony wychowawcze“.

X. P.

X. Jan Adamski. **„Pokora podstawą życia chrześcijańskiego“.** Poznań 1915. Nakładem księgarni św. Wojciecha. Stron 191. Cena 2·40 m.

Nowa ta książka znanego już i cenionego autora, czyni wrażenie sympatyczne. Podzielona jest na 31 rozdziałów, które nadają się zdaniem autora do czytania na każdy dzień miesiąca maja. Autor wypowiada bardzo piękne myśli o pokorze chrześcijańskiej, przeplatając je praktycznymi przykładami. Dlaczego jednak ma ta książka służyć jako podręcznik do czytań majowych, nie mogliśmy odgadnąć. Może dlatego, że pierwszy rozdział zatytułowany jest: „Pokora w Magnificat“, bo w całej książce bardzo mało mówi autor o Matce Najśw. Także i ze względu na wysłowienie, któremu trzeba wytknąć gdzieniegdzie brak prostoty i pewną pretensyonalność, nie odpowiada temu celowi. Tak np. czytamy na str. 10: „Jak bowiem rzeczą Boga jest dać byt, tak samo do Niego należy postawić kogoś wyżej w danym mu bycie“. Wiele jeszcze innych temu podobnych zdań można tam znaleźć. Przytaczamy jeszcze następujące: Str. 11: „Gdy te istoty taką dobrą wolą swoją nie są ku Bogu zwrócone, lecz od niego odwrócone, wtenczas moralnie nie są w Bogu, lecz po za Bogiem“. Str. 12: „Już od Platona nauczyliśmy się, że cnota polega na podobieństwie do Boga“ itd. Dalej o Platonie pisze autor na str. 13, gdzie także czytamy: „Na to właśnie te nauki, ażeby ludzi z tej grubej ignorancyi wydobyć“.

Można jednak dziełko polecić, a zwłaszcza kaznodziejom, uczącym w domach zakonnych. *X. W. W.*

Książki dla młodzieży.

Artur Schröder. **Pani Rokicka. Epizod jednej nocy.** Wiedeń 1916. Wydawnictwo księgarni Maryana Hasklera w Stanisławowie. Stron 85. Cena 2·40 kor.

Autor, odznaczający się talentem wybitnym, opowiada tu o niewieście wielkiego ducha, która spełnia ofiarę heroiczną,

bo poświęca własne dziecko na ołtarzu ojczyzny. Epizod to z wojny dzisiejszej, z walk naszych legionów, — epizod strasznie smutny, ale nakreślony wybornie i silne czyniący wrażenie.

Dla młodzieży od 12—18 lat. X. P.

Władysław Bełza. **Ołowiany żołnierz i inne powiastki dla młodego wieku.** Warszawa - Kraków. 1909. Gebethner. Stron 175. Cena 80 kop. Wyd. 2-e z rycinami. (1-e wyd. z r. 1883 nosiło tytuł „O zmroku" i pseudonim Władysława Piasta). Dla dzieci.

Piotr Maël. **W kraju tajemniczym.** Powieść dla młodzieży. Przekład B. Kowalskiej. Z rycinami. Warszawa. Arct. 1899. Str. 160. Cena 1·70 kor. Dla młodzieży od 10—15 lat.

M. z Krasińskich. **Z dawnej Polski wiązanka powieści z dziejów ojczystych.** Z illustracyami. Poznań. Chrzanowski. 1908. Stron 142. Cena 2·30 kor. Dla młodzieży od 10—14 lat.

Stanisław Tokarski. **Dzielne dzieci.** Lwów. Tow. Pedag. 1905. (Bibl. dla młodzieży. Serya I, tomik XI). Stron 98. Z rycinami. Cena 1·20 kor. Dla młodzieży od 12—15 lat.

Antoni St. Bassara. **Wojciech Bartos - Głowacki.** Powieść historyczna. (Odbitka z *Przewodnika katolickiego*). Z 12 rycinami M. Artwińskiej. Poznań 1915. Księg. św. Wojciecha. Stron 167. Cena 2 m.

Jest to powieść zajmująca, dobrze napisana i nadająca się na lekturę dla młodzieży. *P.*

Nominacye i wiadomości osobiste.

Instytuowany na prob. w Sokołowie X. Leon Szado, katech. w Sędziszowie.

Zamianowani: zastępcą katech. w I. szk. realnej w Krakowie X. Dr. Stanisław Wysocki, mansyonarz przy kość. N. P. Maryi tamże; sekretarzem Kons. Bisk. w Przemyślu X. Dr. Jan Kwolek, katech. gimn. tamże.

Przeznaczeni na katech. w pryw. gimn. T. S. L. w Białej Władysław Mączyński, wikaryusz tamże; — na katech. w pryw. w szkołach ludow. T. S. L. w Zagłębiu Ostrawsko-morawskiem X. Stanisław Szarek, były wik. w Gwoźnicy górnej.

Obowiązki zast. katech. w c. k. I. gimn. w Przemyślu i pref. sem. duch. ob. łać. objął ponownie X. Dr. Franciszek Czyżewicki, superarbitrowany kurat polowy na czas wojny.

Zmarł X. Dr. Michał Kuryś, katech. filii gimn. IV. we Lwowie i docent uniw. w 50 r. życia, a 27 r. kapł. — *R. i. p.*

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Dr. Aleksander Pechnik.